RP.PL/ZYCIE-REGIONOW NR 1 (403) (10969)

RZECZPOSPOLITA

PONIEDZIAŁEK 5 LUTEGO 2018

OD 7 MAJA TYLKO DLA PRENUMERATORÓW

ŻYCIE REGIONÓW

WSPIERAMY ROZWÓJ SAMORZĄDU TERYTORIALNEGO

KRZYSZTOF WELLMAN

Zygmunt Frankiewicz

prezydent Gliwic

„Najbardziej skuteczne są niepopularne decyzje

s. 8-9

TEMAT TYGODNIA: JAK WYGRAĆ ZE SMOGIEM

Kiedy Polska będzie mogła odetchnąć

s. 4-7

PRAWO DLA SAMORZĄDÓW

Uciążliwe skutki jawności s. 10-11

WIDZIANE Z REGIONU

Jak zapanować nad reklamami w przestrzeni miasta s. 14

ROZMOWA: ZBIGNIEW BONIEK

Nigdy nie pracowałem s. 18-19

W numerze

TEMAT TYGODNIA

Kiedy Polska będzie mogła odetchnąć – samorządy toczą na razie samotną walkę o czyste powietrze **str. 4–5**

Pojedynek ze smogiem jest do wygrania – nasze miasta plasują się wśród najbardziej zanieczyszczonych w Europie **str. 6**

Klimatyczne postanowienia noworoczne – galeria BWA Dizajn we Wrocławiu poświęciła smogowi projekt otwierający ten rok **str. 7**

ROZMOWA TYGODNIA

Najbardziej skuteczne są niepopularne decyzje – mówi Zygmunt Frankiewicz w rozmowie z Bogusławem Chrabotą **str. 8–9**

PRAWO DLA SAMORZĄDÓW

Uciążliwe skutki jawności – kończą się prace nad ustawą o jawności życia publicznego **str. 10**

Gminy żegnają starych patronów – dekomunizacja ulic rozpaliła emocje **str. 11**

Dekomunizacyjnie przez Polskę – koniec pomników i tablic sławiących komunizm **str. 11**

WIDZIANE Z REGIONU

Edukacyjne życie zabytkowych murów – centra nauki w rewitalizowanych obiektach **str. 12–13**

Reklama dźwignią chaosu – samorządowe kodeksy reklamowe poprawią wygląd miast **str. 14**

Inteligentna baza sukcesu – jak wspierać potencjał regionów **str. 15**

Gdzie zniknęło bezrobocie – w kilkunastu miasta i powiatach już go praktycznie nie ma **str. 16**

„Henryk" znów krzepki – pomnikowe drzewa integrują lokalne społeczności **str. 17**

TRZECIA POŁOWA

Nigdy nie pracowałem – mówi Stefanowi Szczepłkowi Zbigniew Boniek, były piłkarz, prezes PZPN **str. 18–19**

KALEJDOSKOP KULTURY

Miejskie areny to znakomite inwestycje – to dzięki nim w Polsce grają gwiazdy **str. 20–21**

ŻYCIE REGIONÓW POLECA **str. 22**

OSTATNIE SŁOWO **str. 23**

RZECZPOSPOLITA
ŻYCIE REGIONÓW

Redaktor naczelny: **Bogusław Chrabota**
Hanna Wawrowska – autorka i szef projektu „Rzeczpospolita Życie Regionów" ..... h.wawrowska@rp.pl
Irmina Zakrzewska – kierownik projektu ..... i.zakrzewska@rp.pl

„Życie Regionów" redaguje:
Andrzej Krakowiak – redaktor prowadzący ..... a.krakowiak@rp.pl
z zespołem:
Wojciech Romański (wojciech.romanski@rp.pl), **Marek Kobylański** (marek.kobylanski@rp.pl), **Jacek Cieślak** (j.cieslak@rp.pl), **Jeremi Jędrzejkowski** (j.jedrzejkowski@rp.pl)

e-mail: **zycieregionow@rp.pl**

facebook.com/
RzeczpospolitaZycieRegionow

Bogusław Chrabota
REDAKTOR NACZELNY „RZECZPOSPOLITEJ"

Hanna Wawrowska
AUTORKA I SZEF PROJEKTU „RZECZPOSPOLITA ŻYCIE REGIONÓW"

Życie Regionów w nowej odsłonie

Od prawie trzech lat na łamach „Rzeczpospolitej Życia Regionów" oraz w serwisie rp.pl, tak jak obiecywaliśmy – jesteśmy blisko Państwa, pokazując rozwój Polski lokalnej cały czas, wspierając rozwój samorządu terytorialnego.

Przekazujemy dziś w Państwa ręce nową odsłonę „Życia Regionów". To Wasz głos, drodzy czytelnicy „Rzeczpospolitej", stał się dla nas drogowskazem i inspiracją do zmian. Co poniedziałek będziemy przybliżać ludzi, którzy zarządzają gminami, powiatami i województwami, nie zapominając o liderach przedsiębiorczości w regionach.

Bieżący „Temat tygodnia" porusza ważny dla nas wszystkich problem walki ze smogiem. Dowiecie się Państwo, czy walka ze smogiem jest do wygrania i jak nasze miasta plasują się wśród najbardziej zanieczyszczonych w Europie.

W dzisiejszej „Rozmowie tygodnia" zapraszamy do rozmowy o polskiej samorządności z prezesem Związku Miast Polskich, jednym z najdłużej urzędujących prezydentów Zygmuntem Frankiewiczem.

Obiecujemy, że będziemy przybliżać również sylwetki i poglądy ludzi, których nie widać na co dzień na łamach mediów, ale mocno wpływają na los naszych miast i regionów.

W sekcji „Prawo dla samorządów" będziemy omawiać i komentować projekty ustaw oraz obowiązujące przepisy i ich konsekwencje. Już w dzisiejszym wydaniu komentarze prezydenta Wałbrzycha i Gdyni do ustawy o jawności życia publicznego i jej uciążliwych dla przedstawicieli samorządu terytorialnego skutkach.

„Trzecia połowa" to cykl tekstów oraz wywiadów ze znanymi osobami, które opowiadają nam między innymi o ważnych dla nich miejscach w Polsce. W tym numerze Zbigniew Boniek w rozmowie ze Stefanem Szczepłkiem o beztroskiej młodości w Bydgoszczy i początkach kariery w Łodzi.

W numerze również sekcje „Widziane z regionu", „Kalejdoskop kultury" oraz rekomendowane do zobaczenia przez redakcję „Życia Regionów" miejsca i wydarzenia.

W kolejnych wydaniach zastanowimy się między innymi nad rolą regionów w Europie oraz głosem samorządów w sprawie budżetu unijnego. Zdiagnozujemy, na czym polega fenomen dużego zaufania do samorządowców. Pokażemy, jak rośnie zaangażowanie ruchów miejskich w zarządzanie nie tylko wielkimi metropoliami.

Nie zabraknie również analiz dotyczących kultury, nauki i sportu. W każdym numerze będziemy też opowiadać, jak nowe technologie zmieniają i wpływają na życie w miastach.

A wszystko to, aby budować lepszą przyszłość dla nas.

Mamy nadzieję, że przyjmiecie nas Państwo życzliwie, a prezentowane w „Rzeczpospolitej Życiu Regionów" treści będą dla Was użyteczne oraz inspirujące.

Zapraszamy do lektury. Do zobaczenia za tydzień. ©℗

FOKUS NA REGIONY

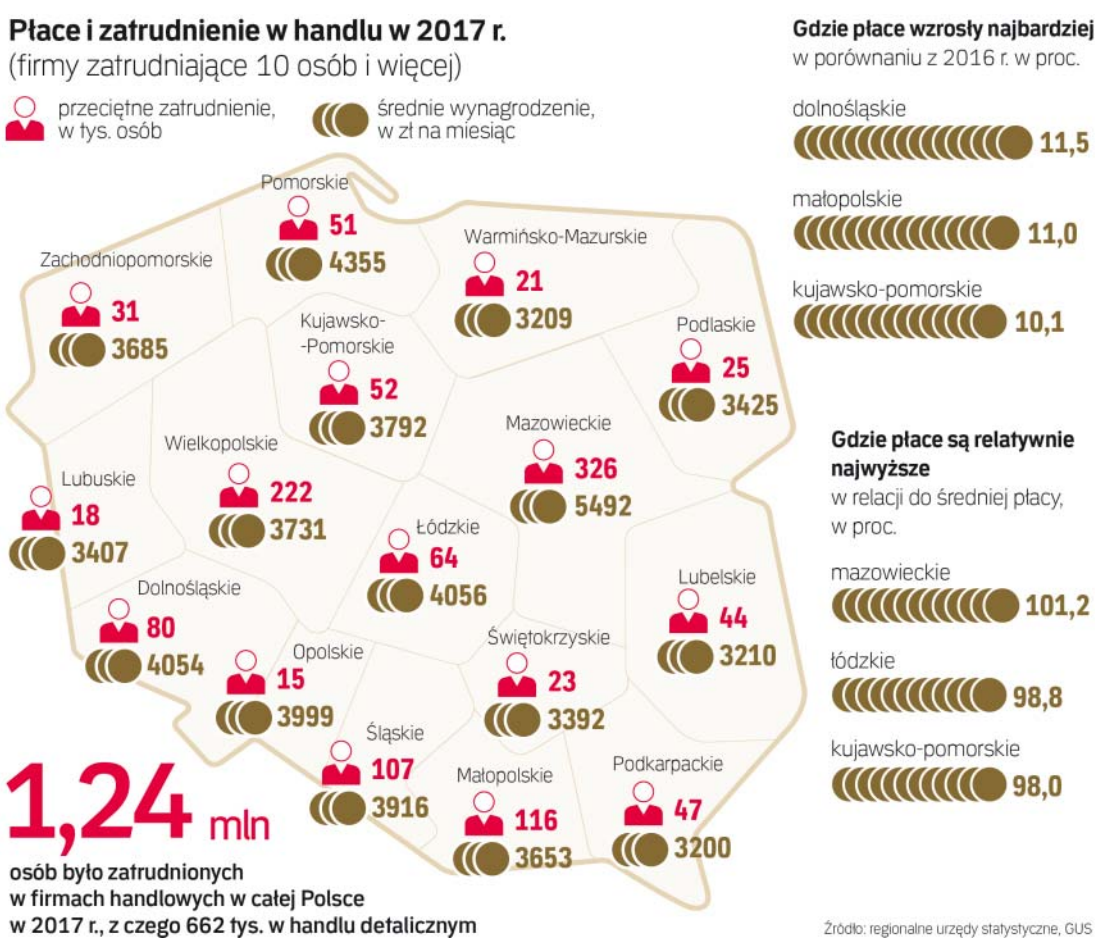

Prezydent podpisał ustawę o ograniczeniu handlu w niedzielę. Eksperci obawiają się, że w jej efekcie spadnie także zatrudnienie w branży, która jest jednym z największych pracodawców w Polsce. Na razie w większych firmach handlowych pracuje prawie 1,24 mln osób.

MAT. PRAS. (3)

Robot Bus pojawi się na gdańskich ulicach już w przyszłym roku

Auta bez kierowcy podbiją ulice

Samochód podobny do pojazdów Google'a wiosną zajmie się mapowaniem Jaworzna

Jaworzno staje się poligonem doświadczalnym dla najnowocześniejszej technologii, którą żyje dziś cała branża motoryzacyjna – samochodów autonomicznych. Ale podobne ambicje ma więcej polskich miast.

Asystenci w nowoczesnych samochodach pozwalają już na półautonomiczną jazdę

JAWORZNO

Już na wiosnę na ulice miasta wyjedzie specjalny pojazd, podobny do aut Google'a (Street View Cars), który zajmie się tzw. mapowaniem ulic i ich otoczenia. Dzięki specjalnym radarom, kamerom oraz lidarom, które – w odróżnieniu od radaru – zamiast mikrofal wykorzystują światło, stworzy cyfrową, trójwymiarową mapę. Ta z kolei ma posłużyć w przyszłości jako niezbędna nawigacja dla autonomicznych samochodów, które będą jeździć po mieście.

Tak, tak – Jaworzno staje się poligonem doświadczalnym dla tej najnowocześniejszej technologii, którą żyje dziś cały przemysł motoryzacyjny. Wszystko wskazuje też na to, że będzie prawdopodobnie pierwszym miastem w Polsce, w którym takie pojazdy pojawią się na ulicach. Jaworznickie władze są bardzo mocno zainteresowane przeprowadzeniem testów pojazdów bez kierowcy właśnie na swoim terenie. Pół roku temu magistrat podpisał z Instytutem Transportu Samochodowego (ITS) w Warszawie oraz firmą Comtegra list intencyjny. To właśnie na jego mocy ruszy opracowanie cyfrowej mapy miasta.

– Mapa to pierwszy krok, ale niezbędny. Dzięki niej samochody w przyszłości zostaną nakarmione niezbędnymi danymi, a w konsekwencji będą widziały trójwymiarowy obraz okolicy. Zmapowanie ulic pozwoli też nam przejść do kolejnego etapu, czyli testów pojazdów już bezpośrednio na drodze – tłumaczy Marcin Koziarz, doradca prezydenta Jaworzna, odpowiedzialny za projekt autonomicznego transportu.

Urzędnicy już pracują z ITS i Comtegrą nad tym, jak przygotować współczesne miasto do tego typu samojezdnych maszyn (mogą to być nie tylko samochody osobowe, ale też autobusy). Wspólnie chcą opracować wytyczne prawne, techniczne i organizacyjne, tak aby zapewnić bezpieczeństwo na drogach, po których jeździć będą autonomiczne pojazdy. – Wyprowadzenie takich pojazdów z laboratoriów na ulice wymaga zmian nie tylko w infrastrukturze, ale również mentalności. Trzeba już dziś zacząć przygotowywać ludzi do tej rewolucji technologicznej. Cieszy, że kwestie legislacyjne w tym kontekście posuwają się naprzód, a zapisy o autonomicznych samochodach znalazły się w ustawie o elektromobilności – podkreśla Marcin Koziarz.

Projekt ustawy, który bez poprawek przeszedł już przez Senat, czeka na podpis prezydenta. Ustawa wprowadza obowiązek uzyskania specjalnego zezwolenia na prowadzenie prac badawczych związanych z testowaniem pojazdów autonomicznych w ruchu ulicznym na drogach publicznych. Paweł Silbert, prezydent Jaworzna, liczy na objęcie miasta taką specjalną, eksperymentalną strefą testów.

GDAŃSK

W Jaworznie zakładają, że dzięki objęciu miasta zezwoleniem na prowadzenie testów nad autonomicznymi pojazdami na ulice wyjedzie również pierwszy autobus bez kierowcy. – Chcielibyśmy, żeby w przyszłości w PKM Jaworzno pojawiła się taka maszyna – przyznaje Marcin Koziarz.

Ale podobne ambicje mają również inne aglomeracje w naszym kraju. Niewykluczone, że pierwszym, w którym taki środek komunikacji rodem z filmów science fiction się pojawi, będzie Gdańsk. Tzw. Robot Bus wyjedzie tam na ulice już w przyszłym roku. W ramach wspólnego projektu, w który zaangażowane są samorządy i ośrodki naukowe m.in. z Finlandii, Estonii, Norwegii, Łotwy i Polski, pojazd będzie woził pasażerów zaprogramowaną trasą. Testy potrwają miesiąc (cały wrzesień 2019 r.). W trakcie przewozu obecny będzie jednak operator, który ma nadzorować poprawność działania maszyny. Robot Bus następnie trafi na pokazy do innych miast regionu Morza Bałtyckiego. Całe przedsięwzięcie, którego budżet wynosi 3,8 mln euro, dofinansowane jest z unijnego programu Interreg Europe (wkład Gdańska to ok. 300 tys. euro). Nie wiadomo jeszcze, czy takie samojezdne wagoniki – o ile się sprawdzą – zawitają do Trójmiasta na dłużej.

Eksperci twierdzą jednak, że od tego typu zautonomizowanych środków transportu ucieczki nie ma. – Pojazdy samosterujące mają zrewolucjonizować nasze życie. Zwiększą komfort podróżowania i bezpieczeństwo pasażerów, a także przyczynią się do redukcji korków i poprawy stanu środowiska – twierdzi Jan Wiśniewski z Obserwatorium Rynku Paliw Alternatywnych.

Jak podkreśla, dziś wyzwaniem jest jeszcze dopracowanie technologii i uregulowanie prawne tego rynku.

LUBLIN

Uber, amerykański gigant, łączący za pomocą internetowej platformy kierowców z pasażerami, wdrożył już w USA pilotaż autonomicznych pojazdów. Szef tej innowacyjnej firmy Dara Khosrowshahi przekonuje, że wizja samojezdnych taksówek nie jest bajką. Uber prowadzi rozmowy z firmą Volvo, których przedmiotem jest zakup floty 24 tys. autonomicznych samochodów. Pierwsze miałyby trafić do produkcji w ciągu najbliższych trzech lat.

W scenariusz, w którym po drogach jeżdżą auta bez sterujących nimi osób, wierzy również Lech Kaniuk, jeden z wizjonerów branży innowacji w Polsce. Kaniuk, który na co dzień kieruje firmą iTaxi (aplikacja łącząca taksówkarzy i pasażerów), przekonuje, że w niedalekiej przyszłości będziemy zamawiać autonomiczne pojazdy właśnie przez takie i podobne platformy. Jego zdaniem autonomiczne auta zmienią obraz miast, które znamy.

– Pojawiły się całkowicie odmienne wizje przyszłości. W jednej parkingi np. zostaną zamienione na zieleń, zaś druga zakłada, że dzięki efektywniejszemu zarządzaniu ruchem jeszcze więcej osób wprowadzi się do miast. Nie ulega wątpliwości, że jedną z funkcji autonomicznych aut jest właśnie zoptymalizowanie ruchu na drogach – tłumaczy Lech Kaniuk. – Realną wizją jest też to, że coraz rzadziej będziemy kupowali auta i zaczniemy częściej korzystać z usług transportowych – dodaje.

W taki scenariusz wierzą zapewne również władze Lublina. Miesiąc temu ogłoszono tam bowiem przetarg na dostawę autonomicznego autobusu. Chodzi o pojazd z tzw. trzecim poziomem autonomiczności, czyli wymagającym obecności kierowcy, ale nieangażującym go już bezpośrednio w jazdę. Kierowca nie musi mieć wzroku i rąk zajętych prowadzeniem, choć wymagana jest stała gotowość do przejęcia kierownicy. Jeśli roczne testy pojazdu zdadzą egzamin, Lublin zdecyduje się na zakup kolejnych dwóch. ©℗

—Michał Duszczyk

Kiedy Polska będzie mogła odetchnąć

ŚRODOWISKO | Brakuje dotacji na wymianę pieców, ogólnopolskich norm dla paliw i przepisów umożliwiających skuteczną kontrolę emisji pyłów z kominów – samorządy toczą na razie samotną walkę o czyste powietrze.

IZABELA KACPRZAK
BARBARA OKSIŃSKA

Wprowadzane przez kolejne województwa (małopolskie, śląskie, opolskie, dolnośląskie, łódzkie, mazowieckie i wielkopolskie) uchwały antysmogowe pokazują, jak wysoki priorytet nadały lokalne władze walce o czyste powietrze. Nie powinno to dziwić – piece na węgiel posiada wciąż w Polsce ok. 3,5 mln gospodarstw, głównie mniej zamożnych. Wystarczy kilka domów na osiedlu, by przy bezwietrznej pogodzie wytworzył się morderczy smog. Na szczęście wiedza o jego skutkach rośnie, a wraz z nią zainteresowanie pożyczkami i dotacjami na wymianę pieców czy termomodernizację. Efekt? Chętnych jest znacznie więcej niż pieniędzy, co widać m.in. w Opolu, Katowicach czy Rybniku.

A walka z nadmiernie zanieczyszczonym powietrzem jest zajęciem trudnym i kosztownym. – Oprócz kosztów związanych z eliminacją niskiej emisji trzeba także uwzględnić zwiększone koszty opieki zdrowotnej – podkreśla Aneta Jędrzejewska, członek zarządu województwa kujawsko-pomorskiego.

***

7 STYCZNIA, RADOM. W nocy ustanowiony zostaje miejski rekord stężenia pyłów – normy przekroczono o... 1500 proc. – Wolelibyśmy, aby Radom zapierał dech w piersiach z innych powodów niż smog. Wszyscy musimy mieć jednak świadomość, że wrzucając do pieca co popadnie, trujemy swoich sąsiadów, swoich bliskich i samych siebie. Zobowiązałem straż miejską do jeszcze intensywniejszych kontroli palenisk – pisze na Facebooku prezydent miasta Radosław Witkowski.

***

Zdecydowana walka z zanieczyszczonym powietrzem nie wzięła się z mody, ale z kalkulacji. Miasta o wysokich wskaźnikach smogu (głównie na Śląsku i w Małopolsce) zauważają niebezpieczny trend – wyludnienie i związany z nim spadek wartości nieruchomości. Zaniedbania sięgają kilkudziesięciu lat i w opinii samorządów potrzeba miliardów złotych i wielu lat, by uporać się z tym problemem. To największe wyzwanie dla Polski XXI w. Tym większe, że smog nie uznaje granic. Od dawna wskazuje na to Kraków, który doprowadził do uchwalenia uchwały antysmogowej dla regionu.

– Nawet jeśli w Katowicach zlikwidujemy wszystkie źródła niskiej emisji, za które jesteśmy odpowiedzialni, to problem dla katowiczan i tak nie zniknie, ponieważ 56 proc. pyłu w powietrzu nad naszym miastem pochodzi od sąsiadów. Im szybciej wszyscy zrozumiemy, że problem nie jest nasz czy wasz, tym szybciej będziemy mogli poprawić jakość powietrza, którym wszyscy oddychamy – mówi Marcin Krupa, prezydent Katowic.

Podobne spostrzeżenia ma burmistrz śląskiej Pszczyny, gdzie wskaźniki zanieczyszczenia należą do najwyższych. Pszczyna jest jednak w 90 proc. zgazyfikowana. – Szacujemy, że 60 proc. zanieczyszczeń pochodzi z zewnątrz – mówi Dariusz Skrobol, burmistrz Pszczyny. Do tego ukształtowanie terenu. Pszczyna leży w obniżeniu, co przy bezwietrznej pogodzie powoduje, że smog unosi się nad miastem. Sytuacji nie ułatwia ogromny ruch samochodów. – Każdego dnia po DK1 podróżuje ok. 45 tys. kierowców. Wpływ na stan powietrza ma również niekorzystna róża wiatrów, powodująca naniesienie zanieczyszczeń z terenów Bramy Morawskiej – wylicza Dariusz Skrobol.

Identyczny problem ma Kraków, który jako jedyne miasto w Polsce wypowiedział totalną wojnę piecom węglowym. Dwa lata temu stolica Małopolski wprowadziła całkowity zakaz palenia węglem. Władze miasta od 1995 r. zlikwidowały ok. 37 tys. palenisk i kotłowni, ale największy postęp dotyczy ostatnich pięciu lat, gdy wymieniono prawie 17 tys. pieców. – Widzimy efekty poprawy powietrza. Świadczyć o tym może liczba dni w danym roku z przekroczeniami norm, choćby w przypadku pyłu PM10 – przyznaje Paweł Ścigalski, pełnomocnik prezydenta miasta Krakowa ds. jakości powietrza.

Na podstawie średnich dobowych ze wszystkich stacji Wojewódzkiego Inspektoratu Ochrony Środowiska w Krakowie w 2015 roku dni z podwyższonymi stężeniami pyłów było 140, w roku 2016 już 100, a w 2017 – 87.

***

23 STYCZNIA, KATOWICE I GLIWICE. Straż miejska po raz pierwszy testuje możliwości drona, pomagającego wykryć przypadki łamania przepisów antysmogowych. Dron namierza dym z komina domu jednorodzinnego przy ul. Armii Krajowej w Katowicach. Kontrola pieca przez strażników miejskich wskazuje, że spalane są śmieci. Właściciel otrzymuje 500 zł mandatu.

***

Zduszone smogiem samorządy podjęły samotną walkę o czyste powietrze. I mają pretensje do rządu, że im w tym nie pomaga.

– Skuteczna walka ze smogiem w Rybniku jest uzależniona w dużej mierze od decyzji na poziomie rządowym – zarówno w kontekście inwestycyjnym, jak i w zakresie prawodawstwa, to znaczy wprowadzenia w życie ogólnopolskich regulacji dotyczących przede wszystkim racjonalnych zasad zaopatrywania w ciepło gospodarstw domowych i ograniczania zanieczyszczeń powodowanych przez środki transportu – mówi Piotr Kuczera, prezydent Rybnika.

Propozycje samorządów są konkretne. Najbardziej oczekiwaną pomocą jest wprowadzenie restrykcyjnych norm dla paliw stałych, w tym zakaz sprzedaży na rynku detalicznym paliw emitujących największe zanieczyszczenia, jak muły, flotokoncentraty i paliwo brunatne (zakaz sprzedaży wprowadziły na ograniczonym terenie uchwały antysmogowe). Wprowadzenie norm pozwoli „wyrzucić" z rynku najbardziej smogowe i szkodliwe dla zdrowia paliwa. – Musimy jednak zrobić wszystko, żeby ten opał zniknął całkowicie z rynku. Możliwość zakupu tanich paliw spowodowała, że jeszcze przed wejściem w życie uchwały antysmogowej wielu mieszkańców zaopatrzyło się w paliwa, którymi dzisiaj opalać nie wolno. Niedawno wraz z Greenpeace i innymi samorządami wystosowaliśmy apel do ministra energii o przyjęcie odpowiednich norm jakości węgla oraz wprowadzenie systemu kontroli i certyfikacji – wskazuje burmistrz Skrobol.

Przedstawiony przez resort energii projekt rozporządzenia w sprawie norm jakości węgla dopuszcza jednak do sprzedaży dla gospodarstw domowych węgiel o wysokiej zawartości siarki. Co jest nie do przyjęcia. – Domowe kotły grzewcze, w odróżnieniu od elektrowni, nie są wyposażone w instalacje do odsiarczania spalin, dlatego w tym przypadku zawartość siarki w węglu powinna być jak najniższa – tłumaczy Marzena Wodzińska, członek zarządu województwa wielkopolskiego.

Jak wylicza prezydent Katowic Marcin Krupa, potrzebne są także zmiany w rozporządzeniu ministra spraw wewnętrznych i administracji w sprawie wykroczeń, za które strażnicy gminni byliby uprawnieni do nakładania grzy-

OPINIE — DLA „ŻR"

Marzena **Wodzińska**
członek zarządu województwa wielkopolskiego

MAT. PRAS.

Inicjatywy podejmowane przez samorządy nie dadzą efektu bez wsparcia finansowego ze strony rządowej. To najpoważniejszy problem realizacji działań zapisanych w programach ochrony powietrza oraz obowiązków wynikających z uchwał antysmogowych. Samorządy nie posiadają wystarczających środków na ich realizację. Ponadto NFOŚiGW wycofał się z programów „Kawka", „Ryś" i „Prosument", które cieszyły się dużym zainteresowaniem beneficjentów i pomagały w likwidacji niskiej emisji. Niektóre gminy prowadzą wymiany kotłów u mieszkańców, wykorzystując między innymi własne środki budżetowe pochodzące z tzw. opłat za korzystanie ze środowiska. Działania związane z ochroną powietrza muszą jednak zostać wzmocnione przez kompleksowe działania rządowe. Oprócz dofinansowania do wymiany kotłów należy obniżyć ceny jednostkowe paliw niskoemisyjnych (np. gazu ziemnego, oleju opałowego, prądu) dla przeciętnego obywatela. ©℗

Dariusz **Skrobol**
burmistrz Pszczyny

MAT. PRAS.

Zachęcamy mieszkańców do wymiany pieców węglowych na gazowe. Wykorzystujemy środki europejskie na termomodernizację budynków oświatowych. Każda szkoła posiada już kotłownie gazowe. Podobna sytuacja jest na naszych osiedlach. Ogromny nacisk kładziemy na edukację. Organizujemy warsztaty dla dzieci i młodzieży. Z końcem roku uruchomiliśmy system monitoringu powietrza. Czujniki znajdują się na każdej szkole w 12 sołectwach. Sześć z nich monitoruje stan jakości powietrza na terenie miasta. Mieszkańcy mogą w specjalnym serwisie internetowym www.naszepowietrze.pl bądź za pomocą aplikacji telefonicznej na bieżąco odczytywać aktualne wyniki. Od dwóch lat na terenie gminy funkcjonują ekopatrole. Sześciu przeszkolonych pracowników straży miejskiej kontroluje, czym mieszkańcy palą. Zauważyliśmy już wyraźną tendencję spadkową. Coraz mniej śmieci ląduje w piecach. ©℗

ADOBESTOCK

Władze Krakowa wypowiedziały piecom węglowym totalną wojnę. Od dwóch lat w stolicy Małopolski obowiązuje całkowity zakaz palenia węglem

wien – co pozwoliłoby zwiększyć uprawnienia strażników egzekwowania zapisów „uchwał antysmogowych". Samorządowcy czekają także na uregulowanie dotyczące kontroli i czyszczenia przewodów wentylacyjnych, spalinowych i dymowych w budynkach jednorodzinnych, czy uregulowań prawnych w sprawie kontroli urządzeń grzewczych małych mocy do 1 MW oraz kontroli spalin z urządzeń grzewczych małych mocy przez służby kominiarskie (konieczność zmian w ustawie – Prawo budowlane).

Wiele gmin wskazuje, że dobrym pomysłem byłoby zmniejszenie ceny gazu i oleju opałowego (np. poprzez obniżenie akcyzy i VAT-u). W opracowanym przez rząd programie dotyczącym poprawy jakości powietrza pominięto zaś jedną z najpilniejszych ich zdaniem potrzeb, jaką jest obniżenie ceny paliw niskoemisyjnych dla odbiorców indywidualnych.

Gminy dysponują szacunkami, ile kosztować będzie walka z niską emisją. To kwoty astronomiczne, jakich żaden, nawet najbogatszy, samorząd nie udźwignie. Katowice wyliczyły, że likwidacja niskiej emisji poprzez termomodernizację i wymianę pieców kosztować będzie ok. 1,5 mld zł. Ale to wariant oszczędnościowy. Patrząc szerzej, koszty planowanych do realizacji 36 głównych projektów, ograniczających w sposób bezpośredni i pośredni emisję niską i liniową w stolicy Śląska, sięgną do 2030 r. 3,4 mld zł tylko w samych Katowicach.

– To bardzo duże kwoty – przyznaje prezydent Marcin Krupa. Pieniądze na realizację programów będą pochodziły z budżetu miasta, od inwestorów, a tam gdzie to możliwe również z dotacji unijnych i rządowych. – Jednak o wsparcie zewnętrzne jest ciężko – utyskuje Krupa.

Miasto od 2016 r. ma jedną z najwyższych w kraju dotacji m.in. dla osób fizycznych i wspólnot mieszkaniowych na wymianę starych źródeł ciepła i OZE (do 10 tys. zł), z której do końca 2027 r. skorzystać może nawet 19 tys. właścicieli i najemców nieruchomości. Ma to kosztować prawie 235 mln zł (w tym 176 mln zł dotacji).

Opole na likwidację wszystkich węglowych źródeł ciepła na terenie miasta potrzebuje kilkudziesięciu milionów złotych, podobnie jak Pszczyna (55 mln zł), Rybnik na całkowitą modernizację – ok. pół miliarda złotych. – Dlatego konieczne jest uruchomienie zewnętrznych źródeł finansowych na ten cel – twierdzi Małgorzata Rabiega, naczelnik Wydziału Ochrony Środowiska w Urzędzie Miasta Opola.

Samorządowcy narzekają jednak, że „dobre" programy dotacji do wymiany pieców i na termomodernizację już się skończyły. Obecnie narodowe i wojewódzkie fundusze ochrony środowiska uruchamiają pomoc dla mieszkańców głównie w formie częściowo umarzanych pożyczek. – Takie rozwiązanie cieszy się znacznie mniejszym zainteresowaniem niż dotacje udzielane przez miasto. W przeszłości instytucje te prowadziły program „Kawka", dzięki któremu mieszkańcy mogli pozyskać do 55 proc. kosztów inwestycji w zmianę źródła ciepła oraz „Prosument", umożliwiający uzyskanie dotacji na zakup małych instalacji odnawialnych źródeł energii – wskazuje Małgorzata Rabiega.

OPINIA DLA „ŻR"

Paweł **Ścigalski**
pełnomocnik prezydenta miasta Krakowa ds. jakości powietrza

BOGUSŁAW ŚWIERZDWSKI

Skuteczna walka z zanieczyszczeniami wiąże się z szeregiem programów realizowanych w mieście. W Krakowie jest to m.in. ograniczanie niskiej emisji, w tym dotacje do wymiany palenisk. Poza tym dopłaty do ogrzewania osobom najuboższym, których nie stać na zapłacenie rachunków po wymianie źródła ogrzewania na ekologiczne. Oferujemy pomoc doradczą, techniczną, rozbudowujemy też miejską sieć ciepłowniczą. Prowadzimy też akcje edukacyjne, informacyjne związane z zanieczyszczeniem powietrza i działaniami podejmowanymi przez miasto na rzecz jego poprawy. Promujemy także alternatywne źródła transportu, inwestujemy w nowy tabor autobusowy i tramwajowy oraz infrastrukturę rowerową. ©℗

Miasto Kraków pozyskiwało środki na wymianę palenisk z programu „Kawka", który przez Ministerstwo Środowiska został zakończony w połowie 2016 r. – To było znaczące wsparcie finansowe dla samorządów, niestety zaniechano takiego działania, co w dużej mierze obciążyło budżety miast. Liczymy na podobne projekty, ale na razie nie mamy informacji, czy rząd planuje podobne programy wsparcia – dodaje Paweł Ścigalski.

***

27 STYCZNIA, KATOWICE. Wojewódzkie Centrum Zarządzania Kryzysowego informuje: „Ze względu na poziom pyłu zawieszonego na obszarze rybnicko-pszczyńskim jakość powietrza będzie bardzo zła; wszelkie aktywności na zewnątrz są odradzane; osoby chore, osoby starsze, kobiety w ciąży oraz małe dzieci powinny bezwzględnie unikać przebywania na wolnym powietrzu".

I ostrzega: „Osoby cierpiące z powodu chorób serca mogą odczuwać pogorszenie samopoczucia: uczucie bólu w klatce piersiowej, palpitacje serca, brak tchu, znużenie. Osoby cierpiące z powodu przewlekłych chorób układu oddechowego mogą odczuwać przejściowe nasilenie dolegliwości, w tym kaszel, flegma, dyskomfort w klatce piersiowej, świszczący, spłycony oddech. Podobne objawy mogą wystąpić również u osób zdrowych".

***

Gminy podkreślają, jak ważna jest edukacja i prześcigają się w pomysłach na uświadamianie mieszkańcom, że smog zabija. Wiele takich akcji prowadzą właściwie wszystkie samorządy zmagające się z problemem. Ważny i potrzebny jest też monitoring powietrza, np. Katowice budują u siebie aż 127 czujników (najwięcej w kraju) i 153 ekrany multimedialne za ponad 290 tys. euro.

Pod znakiem zapytania stoi jednak wprowadzenie norm jakości dla węgla – kwestia kluczowa w walce ze smogiem. W styczniu minister przedsiębiorczości i technologii Jadwiga Emilewicz przyznała, że z ministrem energii Krzysztofem Tchórzewskim różni się w kwestii norm dotyczących zawartości siarki w węglu. Minister Tchórzewski próbował przeforsować brak limitów siarki, tłumacząc to uwzględnieniem potrzeb najuboższych Polaków, których nie będzie stać na paliwo lepszej jakości. Tymczasem dopuszczenie do sprzedaży węgla zasiarczonego problemu smogu nie rozwiąże.

Z pewnością natomiast byłoby ukłonem w stronę spółek węglowych. Największa z nich – państwowa Polska Grupa Górnicza – w ubiegłym roku sprzedała do gospodarstw domowych 5,1 mln ton węgla o średniej zawartość siarki wynoszącej 0,59 proc. W tej grupie nie brakuje jednak surowca bardzo zanieczyszczonego, gdzie zawartość siarki przekracza procent. Z kolei należąca do koncernu Enea kopalnia Bogdanka sprzedaje klientom indywidualnym surowiec o zasiarczeniu 0,7–1,3 proc. To jednak marginalna działalność kopalni, stanowiąca niespełna procent rocznej sprzedaży. Reszta produkcji z Bogdanki trafia do krajowych elektrowni i ciepłowni. Zasiarczony węgiel mają także kopalnie Tauronu. Wyśrubowane normy dla jakości węgla spowodowałyby więc wycięcie z rynku kilku milionów ton polskiego węgla, który trzeba byłoby zastąpić surowcem z importu – głównie z Rosji.

– Polskie kopalnie nie mają węgla, którego wymagają uchwały antysmogowe. Wydobywamy go niespełna 400 tys. ton, a potrzeba... 12 mln ton – rozkłada ręce jeden z menedżerów z branży.

Powołany przez ministra energii specjalny zespół pracuje nad przepisami, które mają wspomóc najuboższych. To jeden z elementów ogłoszonego na początku 2017 r. rządowego programu „Czyste powietrze", którego realizacja idzie jak dotąd bardzo opornie. – Założenia polityki w zakresie przeciwdziałania występowaniu zjawiska ubóstwa energetycznego zostaną opracowane i przyjęte przez zespół do końca II kwartału 2018 r. – zapewnił nas resort energii.

Antoni Szlagor, burmistrz Żywca, wylicza: „Pomoc państwa dla najbiedniejszych musi być realna. Uchwała antysmogowa spowodowała wzrost cen o 20–30 proc., a ekogroszek w ciągu dekady podskoczył z 250 zł do 900 zł". ©℗

Walka ze smogiem jest do wygrania

POLSKA I ŚWIAT | Nasze miasta plasują się wśród najbardziej zanieczyszczonych w Europie. Ich władze muszą znaleźć sposób na rozwiązanie problemu, z którym na Zachodzie ostro walczy się od dawna.

HUBERT KOZIEŁ

Kwestia zanieczyszczenia powietrza w przestrzeni miejskiej bez wątpienia stała się ostatnio modnym tematem. Zeszłoroczne alerty smogowe dla Warszawy oraz innych polskich miast wywołały społeczną dyskusję na temat smogu i sposobów przeciwdziałania jemu. Ta dyskusja jest już jednak mocno spóźniona, bo w kwestii walki ze smogiem mamy bardzo dużo do nadrobienia. Według danych Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) aż 33 z 50 europejskich metropolii o najgorszej jakości powietrza to polskie miasta.

– W wielu rejonach Polski, szczególnie w Małopolsce czy na Śląsku, ale również na Mazowszu, widziałem krajobraz spowity gęstą, szczypiącą mgłą i dzieci wracające ze szkoły do domu z maseczkami na twarzach. Czyste powietrze to wyzwanie cywilizacyjne, miara tego, czy Polska jest naprawdę dojrzałym krajem – mówił w swoim exposé premier Mateusz Morawiecki.

Miasta w czołówce

Ale jaka jest faktyczna skala problemu, który tak mocno przykuł uwagę premiera? Jest z pewnością źle, ale na szczęście daleko nam do najbardziej zatrutych metropolii świata. WHO szczególną uwagę zwraca na normy zanieczyszczeń PM 2,5 i PM 10. Pierwsza dotyczy stężenia w atmosferze cząstek o średnicy nie większej niż 2,5 mikrometra (liczone w mikrogramach na metr szcześcienny), druga mówi o stężeniu cząstek o średnicy nie większej niż 10 mikrometrów. Norma PM 2,5 dotyczy cząstek, które są uznawane za najbardziej szkodliwe. WHO tworzy zestawienia miast z całego świata pod względem ich zanieczyszczenia według obu norm (dane te pochodzą jednak z różnych lat i w przypadku niektórych metropolii najświeższe są te sprzed pięciu lat). Z jej danych wynika, że w aż 113 polskich miastach przekraczane były co najmniej dwukrotnie zalecane normy PM 2,5 (zalecenia WHO mówią o maksymalnie 10 mikrogramach PM 2,5 na metr szcześcienny).

W pierwszej dwunastce znalazły się: Żywiec (43 mikrogramy PM 2,5 na metr szcześcienny), Pszczyna (43), Rybnik (40), Wodzisław Śląski (39), Opoczno (39), Sucha Beskidzka (39), Kraków (37), Nowy Sącz (36), Niepołomice (36), Tuchów (36) i Knurów (36). A więc w większości miasta ze Śląska i Małopolski. Tak często występująca w mediach w kontekście smogu Warszawa zajęła dopiero 68. pozycję w Polsce (26). Katowice znalazły się na 14. miejscu (35) a Poznań na 106. (21). Wśród dziesięciu miast Europy o najbardziej zanieczyszczonym powietrzu aż pięć to polskie miasta. Żywiec i Pszczyna są wyprzedzane w tym niechlubnym zestawieniu jedynie przez: macedońskie Tetovo (81), bośniacką Tuzlę (65) i macedońską stolicę Skopje (45). Pomiędzy Pszczyną i Rybnikiem plasują się: bułgarski Dimitrovgrad (42) i czarnogórska Plevlja (42), a pomiędzy Rybnikiem i Wodzisławiem Śląskim, macedońska Bitola (40).

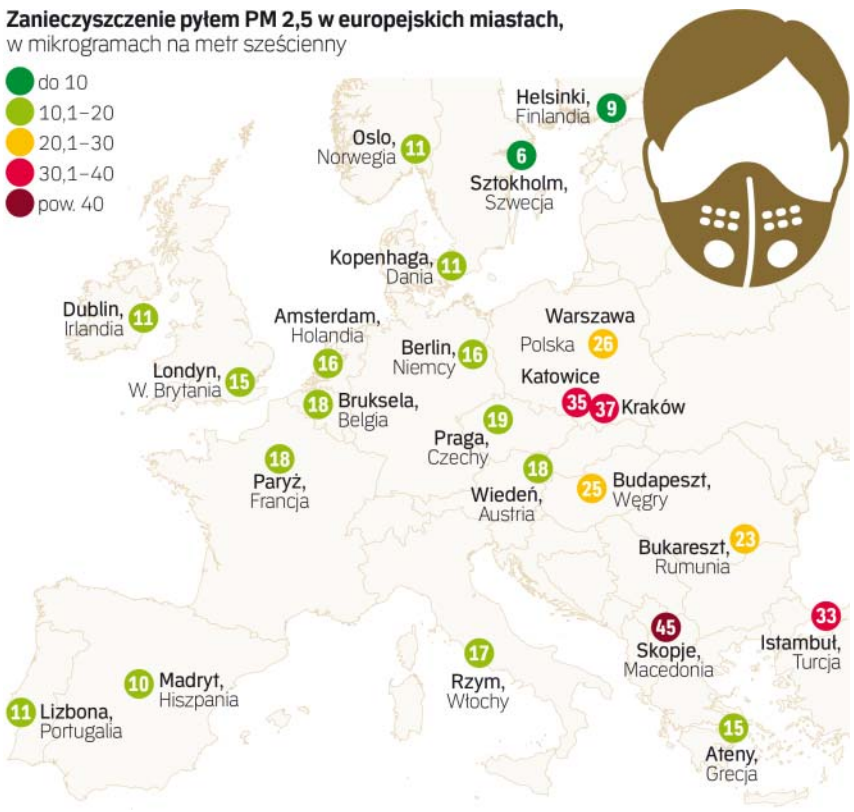

Daleko do Azji

Na liście 500 miast z całego globu mających najgorszą jakość powietrza pod względem normy PM 2,5, Żywiec znajduje się dopiero na 345. miejscu, a Tetovo na 61. W rankingu bardzo mocno są reprezentowane chińskie, indyjskie i bliskowschodnie miasta. Najbardziej dotkniętą smogiem metropolią na Ziemi jest irański Zabol, w którym stężenie PM 2,5 sięga aż 217. Normy są więc tam przekroczone ponad 20-krotnie. Na kolejnych pozycjach znajdują się: indyjskie Gwalior (176) i Patna (170) oraz saudyjska stolica Rijad (156). Najgorszym chińskim miastem jest Xingtai (128), które zajmuje dziewiątą pozycję. Często pojawiający się w doniesieniach medialnych w kontekście smogu Pekin (85) jest dopiero na 57. miejscu, a Szanghaj (52) na 239.

Najbardziej zaciągnięte smogiem miasto Afryki, kameruńska Bamenda (132) zajmuje ósme miejsce. W Ameryce Łacińskiej najbardziej zatrute powietrze ma chilijskie miasto Coyhaique (64), znajdujące się na 143. pozycji. W pierwszej pięćsetce nie ma żadnego miasta w Niemczech, Francji, Wielkiej Brytanii czy w Stanach Zjednoczonych. Nie ma też żadnego węgierskiego czy rumuńskiego, choć są cztery czeskie i... 27 polskich. Lepiej od Warszawy wypadają m.in.: Budapeszt (25), Bukareszt (23), Praga (19), Paryż (18), Berlin (16), Londyn (15), Los Angeles (11), a nawet Caracas (25), Mexico City (20), Rio de Janeiro (16), Bangkok (24), Seul (24), Manila (17) czy Tokio (15), nie mówiąc już o Toronto (8) czy Sztokholmie (6).

> MUSIMY SPRAWIĆ, BY TRANSPORT PUBLICZNY I JAZDA NA ROWERZE BYŁY BARDZIEJ ATRAKCYJNE, TAK BY LUDZIE ZOSTAWIALI SAMOCHODY W DOMU
>
> REGINE GÜNTHER, BERLIŃSKA SENATOR

Potrzebne narzędzia

Jak europejskie i światowe metropolie radzą sobie ze smogiem? By skutecznie walczyć z tym zjawiskiem potrzeba systemów monitorowania jakości powietrza. Np. w brytyjskiej stolicy działa Londyńska Sieć Jakości Powietrza (LAQN), czyli 100 stacji pomiarowych, które obsługują specjaliści z King's College. Stacje te pozwalają na tworzenie szczegółowych map zanieczyszczeń i modeli pomagających w lepszym zrozumieniu tego zjawiska. Zanieczyszczenia powietrza pochodzą z wielu różnych źródeł i poszczególne samorządy kładą różny nacisk na ich ograniczanie. Np. samorząd Berlina stawia na wyłączanie elektrowni węglowych i przechodzenie na bardziej „ekologiczne" źródła energii, a wspiera to polityką zniechęcającą do wjeżdżania do centrum miasta „trujących" samochodów.

– Berlin zamierza stać się do 2050 r. miastem klimatycznie neutralnym. To ambitny, ale realistyczny cel. Berliński Senat pracuje nad zakończeniem generowania prądu i ciepła z węgla w Berlinie. Energetyka oparta na czarnym węglu ma zostać wyeliminowana do 2030 r. – deklaruje (w publikacji „Ochrona klimatu w Berlinie") Regine Günther, berlińska senator ds. środowiska, transportu i ochrony klimatu.

W wielu krajach UE wdrażano też ostre normy dotyczące domowych instalacji grzewczych, np. Czechy przyjęły prawo przewidujące, że od 2022 r. wszystkie małe instalacje opalane paliwami stałymi muszą spełniać określone standardy emisji.

Samochodem nie do centrum

Dużo kontrowersji wywołuje kwestia ograniczania ruchu samochodowego w miastach. W Londynie wprowadzano w 2012 r. opłatę za wjazd do centrum miasta wynoszącą 11,5 funta dziennie. Podobne rozwiązania przyjęto m.in. w Sztokholmie, Mediolanie i wielu norweskich miastach. Wprowadzane są też strefy niskiej emisji.

CHIŃSKA WIEŻA I MEKSYKAŃSKA KRATA

W walce ze smogiem sprawdza się wielki oczyszczacz powietrza, czyli 100-metrowa wieża wybudowana w chińskim mieście Xian. Naukowcy zaangażowani w ten projekt donoszą o wyraźnej poprawie jakości miejskiego powietrza, odkąd ogromny oczyszczacz zaczął działać. Cao Junji, badacz z Instytutu Środowiska Ziemskiego Chińskiej Akademii Nauk, wskazuje, że wieża antysmogowa produkuje 10 mln m sześc. świeżego powietrza dziennie, co ma przełożenie na zmniejszanie się smogu do umiarkowanych poziomów. Jak działa to eksperymentalne urządzenie? Zasysa ono skażone powietrze do systemu szklarni u podnóża wieży. Tam jest podgrzewane przez energię słoneczną. Idzie do góry, a zanim wyjdzie przez komin, przechodzi przez system filtrów. System ten działa również w miesiącach zimowych, gdy jest mniej światła słonecznego, a smog w mieście jest większy. Udowodniono, że wieża antysmogowa poprawia jakość powietrza na obszarze wynoszącym co najmniej 10 km kw. Jej wpływ na jakość powietrza na większych obszarach wymaga dalszych badań. Wieża w Xian jest na razie instalacją eksperymentalną. W planach jest zbudowanie o wiele potężniejszej struktury, liczącej 500 m wysokości.
Ciekawy pomysł na walkę ze smogiem zastosowała też berlińska architekt Allison Dring. W Mexico City obłożyła jeden z zaprojektowanych przez siebie budynków specjalną kratą pokrytą dwutlenkiem tytanu. Pod wypływem promieni UV przemienia on dwutlenek azotu ze spalin samochodowych w kwas azotowy, który jest następnie przemieniany w nieszkodliwą sól. Instalacja ta powstała przy ścianie szpitala Manuela Gea Gonzaleza i pozwala zredukować zanieczyszczenia powietrza na pobliskiej ulicy o ilość produkowaną dziennie przez 1000 samochodów. ©℗

„W Niemczech wiele miast zostało zmuszonych do ich wprowadzenia przez organizacje ekologiczne pozywające je do sądów. Wciąż wywołują one wiele sporów, a badania wykazują, że lepszy efekt dla czystego powietrza niż stałe ograniczenia dałoby ograniczenie bądź spowolnienie ruchu tylko przez 25 proc. czasu. W Austrii pierwszej strefy niskiej emisji, która miała powstać w mieście Graz, nigdy nie udało się zatwierdzić w referendum" – piszą eksperci Europejskiej Platformy Zarządzania Mobilnością (EPMM).

W Paryżu w dni podwyższonego smogu wpuszczane są do miasta jedynie samochody z określonymi rejestracjami (parzystymi lub nieparzystymi) oraz te, w których siedzą co najmniej trzy osoby. Podobny system funkcjonuje m.in. w Rzymie czy New Delhi. Jego skuteczność jest jednak dyskusyjna. Nie pomógł on za bardzo w ograniczeniu smogu w mongolskiej stolicy Ułan Bator – gdyż smog pochodzi tam w największym stopniu z piecyków węglowych i z elektrociepłowni opalanej węglem. Eksperci wskazują też, że ograniczenia ruchu muszą być uzupełnione, tak jak np. w Londynie, dobrą komunikacją miejską i promocją niskoemisyjnych samochodów, w tym aut hybrydowych i elektrycznych. ©℗

Klimatyczne postanowienia noworoczne

KULTURA | Smog tak dalece ingeruje w nasze życie, że galeria BWA Dizajn we Wrocławiu poświęciła mu projekt otwierający ten rok.

MAT. PRAS.

MAT. PRAS.

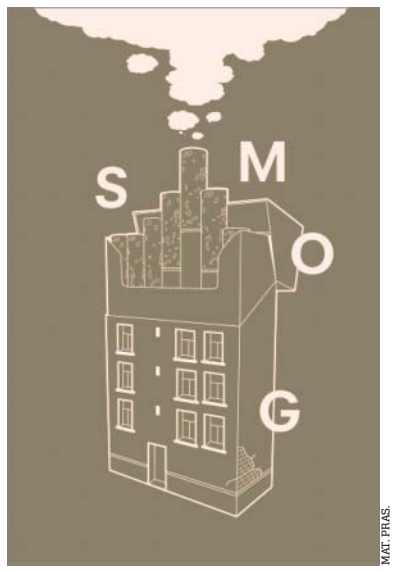

MAT. PRAS.

W walkę o czyste powietrze angażują się nawet artyści

MAŁGORZATA PIWOWAR

Najważniejszym celem „Noworocznych postanowień 2018. Smog" jest pokazanie, że projektanci nie zajmują się jedynie ekskluzywną sztuką, ale mogą też włączyć się twórczo w codzienne życie miasta – także pomagając dostrzec problem smogu jego mieszkańcom.

– Jak informują dane, we Wrocławiu rocznie wypalamy tysiąc papierosów, oddychając powietrzem, które tu jest – przypomina Iwona Kałuża z galerii BWA Dizajn. – Dla porównania statystyczny mieszkaniec Londynu „wypala" ich 25. Smog jest poważnym problemem, a edukacji na ten temat ciągle jest za mało. Dlatego sądzimy, że nasz projekt okaże się przede wszystkim pożyteczny.

Zrób zdjęcie smogu

Jednym z jego elementów będą warsztaty reporterskie „Fakt niezbędny jak tlen", które poprowadzi dziennikarka Magdalena Kicińska. Chętni będą mogli dowiedzieć się, w jaki sposób realizować reporterskie zadania i tworzyć reportażowe formy. Pierwszy blok będzie trwał dwa dni, w czasie których dziesięć wyłonionych osób będzie pracowało nad materiałami, których hasłem wywoławczym będzie „smog". Potem nastąpi podsumowanie tych prac. – Naszym marzeniem jest, by zostały opublikowane w formie gazety lub zina – mówi Iwona Kałuża. – Nawet jeśli okazałoby się to nie do zrealizowania, na pewno w jakiejś formie udostępnimy te materiały.

Druga grupa warsztatowa, zainteresowana fotoreportażem, pracować będzie pod okiem Alicji Kielan. Organizatorzy zdradzają, że to działanie będzie miało charakter fotograficznego projektu badawczego. Zadaniem uczestników będzie znalezienie w przestrzeni miejskiej dowodów na istnienie smogu. Będą też specjalne warsztaty dla dzieci.

Zaplanowany został również „smog – dating", czyli próba połączenia ludzi z różnych środowisk – pracowników urzędu miasta, aktywistów miejskich m.in. ze Stowarzyszenia Akcja Miasto oraz Dolnośląskiego Alarmu Smogowego z wrocławskimi projektantami. W czasie tego spotkania kilkunastu zaproszonych gości będzie mogło przez kilka minut rozmawiać ze sobą „sam na sam". – Chodzi o to, żeby się poznali, bo wtedy łatwiej o porozumienie i wspólne działanie – uważa Iwona Kałuża. – Projektanci mają możliwość włączyć się w tak potrzebną w sprawie smogu edukację. Przekładanie zawiłych treści na jasny wizualny przekaz – to przecież ich domena.

Oni właśnie mają zaprojektować plakaty i ulotki, a także część witryny, która znajduje się w galerii Dizajn na Świdnickiej. Każdy z sześciu projektantów wybrał temat swojego działania, który przetworzy w formę skierowaną do konkretnych adresatów. Ewa Głowacka zajęła się tematem „Smog a prawo", czyli wzięła pod lupę uchwałę antysmogową dla Dolnego Śląska. Jakub Zasada zajmie się wpływem smogu na zdrowie – o tym, jak wpływa na ludzi. Joanna Gniady skoncentruje się na fatalnym działaniu smogu na zdrowie dzieci, bo właśnie najmłodsi są na co dzień adresatami jej działań twórczych. Paweł Mildner opowie, czym jest smog, przypominając, jakie są przyczyny jego powstawania. Marta Przeciszewska przedstawi smog od chemicznej strony, pokazując, że zwiększa ryzyko zachorowania na choroby nowotworowe. Iwona Jarosz zaprojektuje ulotkę konfrontującą mity i fakty na ten temat. Ulotki znajdą się nie tylko w galerii i aptekach, ale także szkołach, przedszkolach, urzędach miejskich. Będzie też można pobrać je ze strony internetowej.

Czarne skrzydło

– Większość ludzi myśli, że smog jest efektem nadmiernej eksploatacji w przemyśle, a wcale tak nie jest – zauważa Iwona Kałuża, współkuratorka tegorocznych „Noworocznych postanowień". – W naszym mieście i regionie smog jest głównie efektem spalin pochodzących z kotłów i pieców na paliwa stałe w gospodarstwach domowych. I to trzeba zmienić przede wszystkim, żebyśmy mogli oddychać czystym powietrzem.

„Noworoczne postanowienia" są cyklicznym projektem realizowanym przez galerię BWA Dizajn Wrocław na początku każdego roku kalendarzowego. Za każdym razem dotyczy różnych aspektów jednego wydarzenia możliwego do twórczej realizacji przez projektantów. Na czas „Noworocznych postanowień" przestrzeń galerii zamienia się w otwartą pracownię – miejsce spotkań i wymiany wiedzy, w którym odbywają się warsztaty, wykłady i działania twórcze. Idea projektu nawiązuje do teorii czarnego łabędzia, według której co jakiś czas pojawia się zaskakujące wydarzenie, które ma niezwykłą moc oddziaływania i może znacząco wpłynąć na rzeczywistość. Czarne skrzydło – projekt Jakuba Stępnia (Hakobo) jest znakiem rozpoznawczym wszystkich „Noworocznych postanowień".

Projekt jest dziełem kolektywu kuratorskiego w składzie: Iwona Kałuża, Magdalena Kreis, Katarzyna Roj, Natalia Romaszkan, Joanna Sokalska.

Efekty wszystkich działań widzowie będą mogli oglądać przez cały czas trwania akcji – ruszyła 31 stycznia i potrwa do 4 marca. ©℗

Zygmunt Frankiewicz

Najbardziej skuteczne są niepopularne decyzje

Samorząd w Polsce jest silny i w miarę dobrze skonstruowany. Wymaga korekt, a nie rewolucji – mówi w rozmowie z Bogusławem Chrabotą prezydent Gliwic, laureat nagrody Fundament „Rzeczpospolitej" im. Michała Kuleszy.

: Co osiągnęła Polska dzięki 25 latom samorządności?

ZYGMUNT FRANKIEWICZ: W niespotykanie szybki i szeroki sposób poprawiła się jakość życia. Dotyczy to prawie każdej dziedziny, od infrastruktury, przez szkoły, kulturę, sport czy wygląd miast. To, co było 25 lat temu, a co jest teraz, to dwa różne kraje.

Czemu łatwiej radzić sobie z wyzwaniami na poziomie samorządu, a nie z perspektywy państwa i jego instrumentów centralnych?

Samorząd jest bardzo blisko mieszkańców, jest codziennie kontrolowany, tam liczą się efekty. PR-em czy różnymi sztuczkami można na krótko zapewnić sobie popularność. Faktycznie cenione są osiągnięcia, czyli zmiany na lepsze w bezpośrednim otoczeniu. Jeżeli tego nie ma, to człowiek jest źle oceniany i odchodzi. W przypadku zarządzania państwem jest to na tyle oderwane od aktu wyborczego, upolitycznione, że prosty mechanizm odpowiedzialności za to, czego się nie zrobiło, nie działa.

Zaczął pan karierę samorządową wiele lat temu. Z jakimi oczekiwaniami lokalnej społeczności gliwickiej zetknął się pan na początku swojej misji? Co po latach może im pan powiedzieć?

W zasadzie wszystko, co wtedy wydawało się marzeniem, teraz jest od dawna zrealizowane. Były to bardzo proste marzenia. U nas cały układ drogowy był jeszcze poniemiecki, żadna nowa droga nie powstała w PRL-u, nie było oczyszczalni ścieków, dzikie wysypisko śmieci itd. W tej chwili to jest nowoczesne europejskie miasto. Trudno wszystko wymienić.

Co było najtrudniejszym i najważniejszym wyzwaniem w pana karierze?

Wyzwań było bardzo dużo. Pamiętam parę przedsięwzięć inwestycyjnych, które wydawały się wręcz niemożliwe do realizacji. Przez 40 lat z wielkimi problemami na Górnych Śląsku budowana była Drogowa Trasa Średnicowa. Najtrudniejszym odcinkiem był gliwicki. W pewnym momencie wydawało się, że tego już się nie da zrobić, a jest i działa. Pomimo ogromnej krytyki jest pełne zadowolenie i satysfakcja z tej inwestycji. To było też bardzo duże przedsięwzięcie. Jeżeli się jest przekonanym do wizji i argumentów, to należy realizować zamysły, nawet jeżeli jest grupa oponentów. Zwykle najbardziej skuteczne okazują się niepopularne decyzje.

Pamiętam Gliwice z lat 70. wtopione w krajobraz śląski. Miasto niespecjalnie różniące się od Zabrza i okolic. Miasto z wielkoprzemysłowymi problemami. Dzisiaj to miasto akademickie, miasto startupów i nowoczesnego biznesu. Co trzeba było zrobić, żeby dokonać tak istotnej zmiany?

Mieć pomysł, być konsekwentnym i nie podlegać bieżącym presjom. Krótko mówiąc – robić swoje. Wydaliśmy ogromne pieniądze na infrastrukturę, która miała służyć rozwojowi przedsiębiorczości. Została utworzona specjalna strefa ekonomiczna i trzeba było ją uzbroić. To było niezwykle krytykowane. Teraz nikt tego nie krytykuje, bo Gliwice są jednym z najbogatszych miast w Polsce. Kiedyś byliśmy jednym z najbiedniejszych.

Wiele miast w Polsce się wyludnia. Jak wygląda ten problem w Gliwicach?

Może wolniej niż inne śląskie miasta, ale Gliwice też się wyludniają. Spadek liczby mieszkańców wiąże się głównie z wyprowadzaniem się ludzi na przedmieścia, które są poza granicami administracyjnymi miasta. Jest to typowa suburbanizacja. Ci ludzie wciąż czują się mieszkańcami Gliwic. Strata nie jest tak duża jak wyjazd rzeszy młodych ludzi za pracą do państw Europy Zachodniej. Oczywiście jest mniej urodzeń niż zgonów, ale to nie jest problem lokalny, tylko ogólnopolski.

Na jakie trzy główne kierunki rozwoju miasta wskazałby pan w ciągu najbliższych 25 lat?

Oparliśmy się na nauce, głównie nowych technologiach, logistyce i przemyśle. To wszystko należy podtrzymać. Warte są te miejsca pracy, które są wysokopłatne i trudne do przeniesienia.

Nowe technologie czy startupy rozwijają się u nas świetnie. Logistyka jest naturalnym wyborem, bo u nas krzyżują się główne polskie autostrady. Jeśli na tym będziemy bazowali i korzystając z zasobów pieniężnych z tych inwestycji, będziemy rozwijali kulturę, podnosili jakość życia mieszkańców, to i z demografią będzie lepiej.

Policzył pan, ile milionów z funduszy spójności przyszło do Gliwic?

Zaczynaliśmy jeszcze od preakcesyjnych funduszy. W sumie może być pewnie koło miliarda złotych. To są spore pieniądze. Główny rozwój następuje jednak nie w oparciu o dotacje, tylko o wewnętrzne zasoby miasta i jego obywateli. Wewnętrzne inwestycje są zdecydowanie większe i więcej warte. Bazą rozwojową musi być to, co sami tworzymy.

Był pan jednym z liderów pomysłu metropolii śląskiej.

Metropolia działa od paru miesięcy i zaskakująco dobrze się sprawdza. Widać konkretne efekty, a wiele następnych zamysłów jest w przygotowaniu. Gliwice dla solidarności weszły do tej metropolii. Trudno być szczęśliwym, jeżeli dookoła jest bieda. Gliwice wybiły się na niezależność i bogactwo, ale na Górnym Śląsku większość miast jest w fatalnej sytuacji gospodarczej. Ta metropolia będzie wyrównywała szanse. Słabsze miasta znajdą wsparcie i nie będzie takich dysproporcji. To jest odległy cel.

Jakie wspólne projekty trzeba jeszcze zrealizować i co jest w obszarze możliwości metropolii?

Pierwszym zadaniem jest transport, czyli unifikacja organizacji transportu publicznego. To już się dzieje i stosunkowo szybko będzie osiągnięte. Sporym wyzwaniem jest kolej metropolitalna. Na to trzeba parę lat. Następne pomysły dotyczą sprzedaży energii elektrycznej, wody, dostarczania ciepła i innych mediów. Można zoptymalizować system szpitalnictwa. Zadań jest dużo, bo w obrębie metropolii jest 2,3 mln ludzi. Dotychczas nie było narzędzi do zarządzania tak dużym organizmem.

Wyobraża pan sobie Śląsk bez węgla kamiennego?

Wystarczy przyjechać do kompleksu, który jest nazywany Nowymi Gliwicami. Jest to stara Kopalnia Gliwice przekształcona na Centrum Edukacji i Biznesu. Tam nikt nie tęskni do górnictwa. Jest mnóstwo technologicznych firm. W sumie 3 tys. zatrudnionych młodych ludzi, którzy tworzą zupełnie inną rzeczywistość. Śląskowi węgiel nie jest koniecznie potrzebny. On jest potrzebny energetyce. Śląskowi o tyle, żeby łagodnie przejść transformację. U nas odbywało się to gwałtownie, ale z powodzeniem. Nie da się gwałtownie odejść od węgla w Polsce, ale w perspektywie 20–30 lat to się dokona.

Co sprawiało panu największy problem w czasie samorządowej kariery?

Problemem nie tylko moim, nie tylko samorządu jest kapitał społeczny Polaków. Cały czas go brakuje. Na początku kariery wydawało się, że będzie coraz lepiej, a wcale tak nie jest. Wydawało się, że wystarczy pokolenie, może dwa i odejdziemy od obciążenia, którym był komunizm. Zmienia się mentalność i sposób myślenia, ale nie wszystko zmierza w dobrym kierunku. Najgorsza z tego jest niebywała roszczeniowość, która robi się coraz większa.

Zauważył pan związek między 500+ a wzrostem tej roszczeniowości?

Nie, to akurat może nie mieć takiego wpływu. Mamy wyuczoną roszczeniowość, ale też niezaradność. Ludzie robią się coraz mniej zaradni, a za swoje niepowodzenia obwiniają państwo. Państwo jest nielubiane, a jednocześnie mnóstwo się od niego oczekuje.

Miałem wrażenie, że po 20 latach i sukcesach samorządności to będzie szło w drugą stronę. Że ludzie będą uczyli się niezależności, będą mieli nawyki radzenia sobie w różnych sytuacjach. Nie widzi pan tego?

Taki jest efekt funkcjonowania samorządu i zasady subsydiarności, ale silniejszy efekt daje ogólny przekaz. Działanie lokalne tego nie równoważy. Trend wciąż jest negatywny, co utrudnia rządzenie, a jednocześnie zwiększa się populizm.

Zmiany w prawie wyborczym, które uderzyły mocno w samorządy, są na korzyść budowy etosu odpowiedzialności?

W Gliwicach przeanalizowaliśmy, jak się ma rozwój miast do stabilności politycznej. Im bardziej stabilna władza, tym większe osiągnięcia lokalnych społeczności.

Dwie pięcioletnie kadencje to za mało?

Często za mało. Nie stać nas na trwonienie kapitału społecznego. Brakuje nam liderów, a od nich zależy jakość naszego życia i przyszłość. Tak jest wszędzie, w gospodarce czy polityce. Liderów mamy znacznie mniej niż w innych społeczeństwach. Jeżeli jeszcze będziemy eliminowali tych, którzy dobrze sobie radzą i wpływają na rozwój lokalnych społeczności, to automatycznie będziemy mieli mniej sukcesów.

Ale niektórzy twierdzą, że ten argument działa w drugą stronę. Tradycyjny lider, który przez kolejne kadencje realnie włada regionem, zajmuje przestrzeń dla potencjalnych nowych liderów.

Byłem długo przewodniczącym Śląskiego Związku Gmin i Powiatów, dużej i silnej regionalnej organizacji samorządowej. Mam wyobrażenie, jak to jest na wsiach, w powiatach itd. Tam nie ma nadmiaru liderów i wielu kandydatów na funkcje wójta czy burmistrza.

KRZYSZTOF WELLMAN

Zygmunt Frankiewicz (na zdjęciu z lewej, w rozmowie z Bogusławem Chrabotą) od 2015 r. jest prezesem Związku Miast Polskich. Prezydent Gliwic od 1993 roku. W latach 1990–2002 zasiadał w gliwickiej radzie miasta. W 1979 r. ukończył studia na Politechnice Śląskiej, po których został pracownikiem naukowym tej uczelni. Jest doktorem habilitowanym nauk technicznych

Boi się pan, że ten mechanizm nie będzie sprzyjał wyłonieniu się nowych liderów, tylko ograniczy szanse działania obecnym?

Życzyłbym sobie, żeby dobrych liderów było na tyle dużo, by co wybory były lepsze władze. Ale tak nie jest. Można mieć gorszy poziom zarządzania niż w tej chwili wskutek wyeliminowania tych, którzy dobrze funkcjonują. Do tej pory wybory dość skutecznie eliminowały tych, którzy nie mieli mierzalnych i konkretnych efektów swojej pracy.

Wielu samorządowców obawia się nowej ustawy o jawności życia publicznego. Dlaczego?

Nie boimy się jawności, co udowodniliśmy choćby rejestrami umów, które wiele samorządów od dawna z własnej inicjatywy publikuje w Biuletynie Informacji Publicznej. Nasze obawy budzi możliwość ścigania kierowników jednostek organizacyjnych za błędy podwładnych. Przykładem jest tu właśnie wyżej wspomniany rejestr umów. Po wejściu w życie ustawy o jawności życia publicznego w Gliwicach urośnie on do wielkości 3,5 tys. pozycji rocznie. Administrować tymi danymi będą pracownicy jednostek. Każdy ich błąd we wprowadzaniu danych obciąża bezpośrednią odpowiedzialnością ich przełożonego, któremu grozi kara grzywny lub pozbawienia wolności do lat trzech.

Tego typu zagrożeń w tej ustawie jest znacznie więcej. Innym znamiennym przykładem jest to, że już samo postawienie zarzutów korupcyjnych, podkreślam – postawienie zarzutów, pracownikowi jednostki uruchamia możliwość działań CBA. Niesie to za sobą poważne konsekwencje finansowe i karne wobec kierowników tych jednostek. Tym samym grożą im poważne konsekwencje niezależnie od ostatecznych wyroków sądowych wobec podległych im pracowników. Ponadto wdrożenie zmian zwiększy zatrudnienie i koszty w administracji.

Co by pan zmienił w prawie o samorządności?

Samorząd w Polsce jest silny i w miarę dobrze skonstruowany. Wymaga korekt, a nie rewolucji. Te korekty są potrzebne wszędzie. Zmiany ustrojowe nie poprawiają sytuacji samorządu. Dotyczy to też finansów, prawa materialnego, gdzie jest mnóstwo rzeczy do zmiany. Nie trzeba trzęsienia ziemi. Ustrojowo jest to dobrze zbudowane, ale wymaga korekt. Długo mówić, co bym zmienił.

Proszę mówić...

W planowaniu przestrzennym jest katastrofa. Przygotowywany jest kodeks urbanistyczno-budowlany, który może to zmieni. Można się zastanowić nad przebudowaniem zasad finansowania zadań samorządowych.

Podoba się panu propozycja, żeby cały PIT zostawał na miejscu?

W tej chwili mamy udział w PIT, miasta na prawach powiatu prawie 50 proc. To są duże wpływy do budżetu. Jakby on był komunalną częścią podatku dochodowego od osób fizycznych, toby było bardzo dobrze. W tej chwili kto inny decyduje o ulgach, a kto inny za nie płaci. To nie powinien być podatek, na który samorząd nie ma żadnego wpływu, a jest jednym z głównych źródeł finansowania zadań gminnych i powiatowych.

Propozycja PO idzie dalej. Niech PIT w całości zostanie w samorządach, dodajmy im kompetencji i uczyńmy ich realnymi gospodarzami regionu...

To jest jedno z dobrych rozwiązań. Ale oparcie finansowania tak ogromnej grupy zadań na jednym podatku jest niebezpieczne. Warto rozważyć dywersyfikację ryzyka.

Reforma edukacji w Gliwicach cokolwiek poprawiła?

Na pewno narobiła problemów. Jest to zmiana organizacyjna, która ma niewielki wpływ na efekt nauczania. Nie spowodowała oszczędności, tylko koszty.

Jak wygląda kwestia zatrudnienia nauczycieli? Czy wszyscy, którzy pracowali na szczeblu gimnazjalnym, znaleźli pracę w innych szkołach?

> SAMORZĄD JEST BARDZO BLISKO MIESZKAŃCÓW, JEST CODZIENNIE KONTROLOWANY. TAM LICZĄ SIĘ EFEKTY

W miastach na prawach powiatu te zmiany organizacyjne są łatwiejsze. Nauczyciele mogą łatwiej znaleźć pracę i nie ma tego problemu. Ale nie powinno być celem zwiększanie zatrudnienia jakiejkolwiek grupy zawodowej. Ministerstwo chwali się tym, że przybyło 17 tys. etatów w oświacie, przy spadku liczby uczniów. Czyli mamy wyższe koszty, a żadnej korzyści w efektach. Ja bym stosował wyłącznie kryteria merytoryczne. Powinno się liczyć, jak młodzież jest przygotowana do studiów czy pracy i na ile jest konkurencyjna na rynku. To jest mierzalne i jeżeli poprawią się te wskaźniki jakości nauczania, to można być zadowolonym. Po takiej reformie i zwiększeniu liczby zatrudnienia nie można mieć satysfakcji.

Jak pan widzi przyszłość straży miejskiej?

Policja nigdy nie będzie robiła tego, co robi straż miejska. Ktoś musi pilnować porządku, śmietników, parków, tego, żeby ludzie nie palili śmieciami w piecach itd. To jest zadanie straży miejskiej, bycie gospodarzem w mieście i pilnowanie porządku. Policja zawsze będzie miała ważniejsze rzeczy na głowie.

Zna pan liczbę mandatów za opalanie domów niewłaściwymi materiałami? Górny Śląsk to jedna z ojczyzn smogu.

Interwencji jest dużo, pouczeń bardzo dużo, mandatów stosunkowo mało. Z powodu ograniczeń prawnych działania straży nie są dostatecznie skuteczne. Brakuje narzędzi prawnych, żeby można było efektywnie egzekwować ograniczenia w spalaniu byle czego.

Udaje wam się walczyć ze smogiem w Gliwicach?

Smog jest problemem. Kiedyś stan powietrza był katastrofalny, nieporównywalnie gorszy niż w tej chwili. Zmieniło się bardzo dużo. Kiedyś truł nas przemysł, teraz trujemy się sami. Za zły stan powietrza w małym stopniu odpowiada komunikacja i samochody. Trucie bierze się z niskiej emisji, czyli spalania marnego paliwa w marnej jakości kotłach. Z tym trzeba sobie radzić, ale jeszcze sobie nie poradziliśmy. Mniej więcej 33 proc. indywidualnych palenisk, z pomocą miasta na poziomie 2–4 tys. zł, jest wymienionych. To trwa już parenaście lat. Zostały zamknięte wszystkie miejskie kotłownie. Zostały stare piece w mieszkaniach prywatnych i z tym trudno jest sobie radzić, bo nie ma przepisów, które by nakazywały ograniczenie sprzedaży paliw stałych marnej jakości. Nie możemy korzystać z możliwości technicznych pomiaru emisji, czyli tego, co wychodzi z komina.

W jakim stopniu Gliwice są zrewitalizowane?

W znacznym. Nie zawsze tak to nazywaliśmy, ale rewitalizacja to zmiana zarówno substancji materialnej, jak i społecznej. Ta druga jest ważniejsze i trudniejsza. Nie ma u nas dzielnic biedy, które mają stygmaty. Do tego na ogromną skalę są modernizowane budynki mieszkalne. Dotyczy to nie tylko centrum, ale również peryferyjnych dzielnic. To jest rzadkie w naszym regionie, że tak dużo pieniędzy inwestuje się w dzielnice dalekie od centrum.

Będzie pan kandydował w tym roku na prezydenta?

Jeszcze nie podjąłem ostatecznej decyzji. Podejmę ją we właściwych okolicznościach i czasie. ©℗

PEŁNA WERSJA ROZMOWY NA: RP.PL/ZYCIE-REGIONOW

Uciążliwe skutki jawności

PROJEKT | Obowiązki związane ze składaniem oświadczeń majątkowych i ograniczenia w zasiadaniu we władzach spółek mogą spowodować, że w urzędach zabraknie rąk do pracy – obawiają się samorządowcy.

WOJCIECH TUMIDALSKI

Dobiegają końca rządowe prace nad projektem tej ustawy o jawności życia publicznego, który – co godne podkreślenia – przeszedł długą ścieżkę konsultacji publicznych i opiniowania.

Najważniejsze efekty wejścia jej w życie to dużo powszechniejszy niż dziś dostęp do oświadczeń majątkowych oraz jawny rejestr umów cywilnoprawnych, jakie zawierają urzędy państwowe i samorządowe oraz – co ważne – spółki z co najmniej 10-procentowym udziałem tych jednostek (trwa jeszcze dyskusja nad poziomem tego udziału). Państwo przyjrzy się też temu, jak w samorządzie uchwala się akty prawa miejscowego. Te rozwiązania mają swych zwolenników, bo o potrzebie monitorowania zjawisk korupcyjnych wiedzą wszyscy. Ale wśród reprezentantów samorządu nie brak też krytyków.

Rejestr umów

Nową jakością w jawności życia publicznego ma być zapowiedziany przez ministra koordynator służb specjalnych Mariusza Kamińskiego i jego zastępca Maciej Wąsik, jawny rejestr umów cywilnoprawnych, ogłaszany w Biuletynie Informacji Publicznej lub na stronach internetowych. Mają go sporządzać wszystkie jednostki sektora finansów publicznych, przedsiębiorstwa państwowe, instytuty badawcze, spółki zobowiązane oraz ich spółki córki. Umowy spółek mogą być częściowo niejawne ze względu na tajemnicę przedsiębiorstwa i prowadzenie działalności konkurencyjnej. W całości jednak ma je znać Centralne Biuro Antykorupcyjne.

6 lat

mają być jawne oświadczenia majątkowe m.in. urzędników samorządowych

Instytucje i firmy będą też musiały udostępniać w BIP dane o: umorzeniach lub ulgach w spłacie zobowiązań podatkowych, a także wydatkach dokonywanych przy użyciu służbowych kart płatniczych – jeśli takie posiadają. Jawny ma też być stan zatrudnienia na podstawie umowy o pracę.

Funkcje w spółkach

Ustawa miałaby też zakazać wójtom i członkom władz samorządu wojewódzkiego zasiadania i działania na rzecz spółek prawa handlowego. Nie mogliby też pobierać kilku pensji z tytułu członkostwa we władzach kilku spółek zobowiązanych. – Jeśli wójt czy inny samorządowiec byłby w zarządzie jednej spółki, to we władzach spółki córki mógłby też zasiadać, ale bezpłatnie – wyjaśniał wiceminister Wąsik.

Samorządowcy zastanawiają się, czy te nowe restrykcje realnie utrudnią pracę ich urzędów.

W ramach zapobiegania podejrzanym transferom z sektora publicznego do biznesu w projekcie zapisano, by zakaz takiego przechodzenia rozszerzyć z dzisiejszego roku na trzy lata. Chodzi o biorących udział w podejmowaniu decyzji korzystnych dla danego przedsiębiorcy. Za złamanie zakazu ma grozić nawet do dwóch lat więzienia i obligatoryjna nawiązka w wysokości osiągniętego dochodu. Dziś to wykroczenie. Z kolei przedsiębiorca zatrudniający taką osobę musi się liczyć z karą administracyjną nakładaną przez szefa CBA – od 10 tys. do pół miliona złotych. Na takie zatrudnienie będzie jednak można uzyskać zgodę, jeśli się wystąpi do działającej przy premierze Komisji ds. Rozstrzygania Konfliktu Interesów. Czy to zachęci do pozostania w pracy w urzędzie?

Gdyby wójtowi, burmistrzowi czy prezydentowi miasta postawiono zarzuty korupcyjne, a sąd by go aresztował, premier obligatoryjnie wyznaczy gminie komisarza – na czas aresztu samorządowca. Dziś w takich przypadkach władzę w gminie przejmuje zastępca wójta, burmistrza lub prezydenta, a dopiero gdy pojawi się problem z funkcjonowaniem jednostki, można sięgnąć do tej nadzwyczajnej możliwości.

Legislacja i lobbing

Większą jawność zakłada się też w stanowieniu prawa – i to nie tylko na szczeblu centralnym, bo też w samorządach. Jawny wykaz prac legislacyjnych, prowadzony dziś tylko na szczeblu centralnym, ma też być sporządzany w samorządach.

Ustawa obejmie też kwestie lobbingu. Proponuje się, by usankcjonować funkcjonowanie lobbystów na szczeblu stanowienia prawa lokalnego. Działający tam lobbysta zawodowy ma być zobowiązany do ujawnienia, kto go wynajął. Nawet osoba fizyczna, która chciałaby się włączyć w proces stanowienia prawa, musiałaby przedłożyć informację o podmiotach, z których pochodzą jej dochody przez ostatnie dwa lata. Dotyczy to także mieszkańca gminy, który chciałby się wypowiedzieć na temat planu zagospodarowania przestrzennego okolicy, w której mieszka. Instytucje broniące praw obywatelskich uznają, że to zbyt duża ingerencja w prawo do prywatności. Krytyczne są też organizacje społeczne, utrzymywane z darowizn. Jak wskazują, czasem nie wiedzą nawet, kto przesłał im 1 proc. ze swego PIT, więc ustawy nie wypełnią. Nie podoba im się też zapis, w myśl którego wpadną w tryby kontroli CBA i innych służb, bo będzie musiała – pod sankcjami – ujawnić majątek, gdy tylko zechcą zabrać głos w procesie uchwalania prawa. – No, chyba że byłaby partią polityczną lub związkiem wyznaniowym. One są zwolnione z tego obowiązku – zauważa Fundacja Batorego w piśmie złożonym w ramach konsultacji.

Informacja o majątku

Najwięcej emocji wywołują jednak zapisy o oświadczeniach majątkowych. Dziś do CBA, które je bada, trafia ich rocznie mniej więcej pół miliona. Gdy ustawa wejdzie w życie, liczba wzrośnie. Za niezłożenie oświadczenia lub nierzetelne złożenie grozić mają sankcje – nawet do utraty stanowiska.

Szczegółowy wykaz osób zawarto w 108 punktach projektu. Obejmuje on m.in. notariuszy, władze spółek z udziałem Skarbu Państwa lub samorządów, a także liczny korpus służby cywilnej, urzędników sądowych, samorządowych, a nawet powiatowych lekarzy orzeczników ZUS i pracujących przy przygotowywaniu zamówień publicznych.

Oświadczenia majątkowe mają być jawne i przez 6 lat widnieć w Biuletynie Informacji Publicznej – jasno mówi o tym projekt w art. 60. Jawne nie będą tylko numery PESEL składającego oświadczenie, adres jego zamieszkania i miejsce położenia ujawnianych nieruchomości.

Nie będą ujawnione oświadczenia majątkowe funkcjonariuszy policji, Straży Granicznej, Służby Celno-Skarbowej, Biura Ochrony Rządu, żołnierzy zawodowych (w tym Żandarmerii Wojskowej), funkcjonariuszy Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Agencji Wywiadu, Służby Kontrwywiadu Wojskowego i Służby Wywiadu Wojskowego, Centralnego Biura Antykorupcyjnego – z wyjątkiem oświadczeń szefa CBA i jego zastępców, które mają być jawne.

Treść oświadczeń rok do roku będzie analizować CBA. Porówna je z deklaracjami PIT. Z tym że dwa lata temu Fundacja Batorego wyliczyła, że CBA bada jedynie 1 proc. złożonych oświadczeń. Według autorów projektu nowe zadania CBA wykona dotychczasowymi kadrami. Minister Mariusz Kamiński powiedział jednak, że decyzje o wzroście nakładów już zapadły. ©℗

NOWE OBOWIĄZKI USTAWOWE

- Pracownicy gmin, powiatowi lekarze orzecznicy ZUS i wiele innych osób z samorządu będzie musiało złożyć oświadczenia majątkowe.
- Te oświadczenia pokażą, jak zmieniał się ich stan posiadania rok do roku.
- Wójtowie, burmistrzowie i prezydenci miast ujawnią też rejestr otrzymanych korzyści.
- Gminy i spółki z co najmniej 10 proc. własnością samorządu ujawnią rejestry umów.
- Sygnaliści, którzy poinformują o nieprawidłowościach, uzyskają ochronę prokuratora.
- Nie będzie można od razu przejść z pracy w urzędzie publicznym do prywatnej firmy.

OPINIE

Wojciech **Szczurek**
prezydent Gdyni

PIOTR GIZIK

Służby kontrolne i policja wiedzą, gdzie są obszary, w których należy szukać nieuczciwości, więc zapewne tam tworzy się narzędzia do sprawdzania stanu majątkowego określonych osób. Samorządowcy są już przyzwyczajeni do jawności i oświadczeń majątkowych. Gdy chodzi o to, jak wielki ma być krąg osób zobowiązanych do ich składania, to trzeba wyważyć pomiędzy interesem państwa a funkcjonalnością jego struktur. Zależy mi na sprawności struktur, ale zawsze trzeba badać, czy skórka jest warta wyprawki. Bo pewien wpływ na funkcjonalność to będzie miało. Już dziś słychać głosy z kręgów osób wydających decyzje w imieniu różnych organów, że po wejściu w życie prawa zobowiązującego do składania oświadczeń będą prosić o przeniesienie do innych obowiązków, gdzie takiego wymogu nie ma. Powody są różne, często np. sprzeciw współmałżonka. Nie spodziewam się wielkich problemów, ale jakieś mogą się pojawić – pewnie tym większe, im mniejszy jest ośrodek. ©℗

DLA „ŻR"

Roman **Szełemej**
prezydent Wałbrzycha

ROBERT GARDZIŃSKI

Wszyscy wiemy, że problem korupcji i braku przejrzystości życia publicznego w naszym kraju jest realny i twierdzenie, że go nie ma, to zaklinanie rzeczywistości. Miejsce Polski w rankingu antykorupcyjnym mogłoby być lepsze. Ale z drugiej strony trzeba odważnie zadać pytanie: czy to nie zmierza zamaszystym krokiem w kierunku urzędniczego absurdu? Forma przerasta treść. Pytam o to, bo Wałbrzych ma poważniejsze problemy niż oświadczenia majątkowe i rejestr umów. Ilu pracowników mojego urzędu będzie musiało zajmować się przygotowaniem rejestru do publikacji zamiast merytoryczną pracą? A dodajmy, że płace w samorządzie wysokie nie są i już jest problem ze znalezieniem pracowników. Zastanawiam się więc, jak na to wszystko wpłynie instytucja sygnalisty, którzy w takich okolicznościach kadrowych i płacowych, sfrustrowani swoją sytuacją, zechcą skorzystać z jej dobrodziejstw? Obowiązku publikacji rejestrów umów się nie obawiam. Myślę raczej o tym, jak wielu przedsiębiorców będzie współpracować z samorządem, wiedząc, że potem zostaną ujawnione dane umowy. ©℗

Mieszkańcy i gminy nie zawsze chcą pożegnać dawnych patronów

WŁADZE LOKALNE | W wielu miejscach dekomunizacja ulic rozpaliła emocje do czerwoności.

RENATA KRUPA-DĄBROWSKA

Obowiązek dekomunizacji ulic przewiduje ustawa z 1 kwietnia 2016 r. Jej pełna nazwa to: „o zakazie propagowania komunizmu lub innego ustroju totalitarnego przez nazwy jednostek organizacyjnych, jednostek pomocniczych gminy, budowli, obiektów i urządzeń użyteczności publicznej oraz pomniki". Weszła ona w życie 2 września 2016 r. Dała ona samorządom rok na samodzielną zmianę nazw ulic, które propagują ustroje totalitarne, w tym komunizm. Gminy dostały również ściągawkę z Instytutu Pamięci Narodowej z nazwiskami i nazwami, które powinny zniknąć z tabliczek. Chodzi m.in. o: Armię Ludową, Karola Świerczewskiego, Ludwika Waryńskiego czy Hannę Sawicką. Termin na zmiany dla samorządów minął 2 września 2017 r. Po jego upływie w grudniu ub.r. do akcji wkroczyli wojewodowie. Hurtowo zarządzeniami zastępczymi zmienili nazwy ulicom. W niektórych miastach z tego powodu zawrzało.

Na terenie województwa dolnośląskiego nazw ulic nie zmieniło 25 gmin, w tym było 16 miast. Wśród nich m.in. były: Wrocław, Bielawa, Jelenia Góra, Wałbrzych, Legnica, Zgorzelec. – We Wrocławiu dotyczyło to dwóch ulic: Kruczkowskiego i bulwaru Kulczyńskiego – wyjaśnia Anna Eisler z Dolnośląskiego Urzędu Wojewódzkiego. Wojewoda nakazał zmienić je na Krzysztofa Kamila Baczyńskiego i Profesorów Lwowskich.

Z kolei na Podkarpaciu nie podporządkowały się przepisom cztery miejscowości. Wojewoda podkarpacki zmienił nazwy ulic w: Baranowie Sandomierskim, Kołaczycach, Mielcu oraz Leżajsku. W Łódzkiem nie wywiązało się z tego obowiązku 37 gmin. Najwięcej zarządzeń zastępczych wojewoda wydał w wypadku Łodzi, bo 27, z tego 26 dotyczyło ulic, a jedno placu. Do tej pory w Małopolsce wojewoda interweniował dziewięć razy w sześciu gminach, w tym w Krakowie. W Opolskiem zarządzenia zastępcze zostały wydane w stosunku do 11 gmin i dotyczyły nazw 20 ulic w takich miejscowościach, jak: Opole, Brzeg, Nysa i Kędzierzyn-Koźle. W Warmińsko-Mazurskiem najbardziej sporną nazwą ulicy okazała się ul. Dąbrowszczaków w Olsztynie. Natomiast absolutny rekord co do liczby wydanych zarządzeń zastępczych pobiło Mazowsze. Było ich dotychczas 103, z tego aż 50 dotyczy Warszawy.

W Katowicach tłumy mieszkańców wyszły na ulicę, kiedy się dowiedziały, że plac im. Wilhelma Szewczyka, który był śląskim pisarzem oraz działaczem partii komunistycznej w PRL, zmienił nazwę na Lecha Kaczyńskiego. Po stronie mieszkańców stanęły władze Katowic

– Nasz głos sprzeciwu nie wynika z takiej bądź innej nazwy – ale z faktu, że wprowadzana zmiana nie uwzględniała opinii katowiczan, która jest dla mnie kluczowa w tej kwestii – mówi Marcin Krupa, prezydent Katowic. – Mieszkańcy Katowic czy jakiegokolwiek innego miasta powinni mieć możliwość wyrażenia własnego zdania w tak ważnej sprawie – dodaje prezydent Krupa.

W Łodzi protesty wywołała zmiana nazwy placu Zwycięstwa również na Lecha Kaczyńskiego.

– Nie rozumiemy decyzji wojewody. Plac Zwycięstwa nie widniał na liście IPN, dlaczego więc zmienił jego nazwę? Przecież chodziło o zwycięstwo nad faszyzmem, gdzie tu jest gloryfikacja komunizmu – zastanawia się Tomasz Kacprzak przewodniczący Rady Miejskiej w Łodzi.

Radni postanowili postawić na swoim i 5 stycznia br. plac Lecha Kaczyńskiego na powrót stał się placem Zwycięstwa. – By mieć gwarancję, by tej nazwy nikt nie podważył, w uzasadnieniu uchwały podaliśmy, że chodzi o zwycięstwo nad bolszewikami – wyjaśnia radny Kacprzak.

Radni w Łodzi ścigali się przy tym też z czasem. 7 stycznia weszła w życie nowelizacja ustawy o zakazie propagowania komunizmu. Od tej daty bez zgody IPN i wojewody nazwy ulicy zmienić nie wolno.

W Warszawie trwa przepychanka dotycząca dawnej Armii Ludowej, jednej z najbardziej ruchliwych ulic w Warszawie.

– Wojewoda zmienił ją na Lecha Kaczyńskiego, radni na Trasę Łazienkowską, a wojewoda na Lecha Kaczyńskiego – mówi Bartosz Milczarczyk ze stołecznego ratusza. Wszystkie zarządzenia zastępcze dotyczące stołecznych ulic zostały zaskarżone do wojewódzkiego sądu administracyjnego. Warszawa nie była jedyna. Skargi do WSA wniesione zostały również w Lublinie, Krakowie czy Łodzi. ©℗

Prawo dla samorządów

O dekomunizacji ulic rozstrzyga opinia Instytutu Pamięci Narodowej

prawo.rp.pl

Nie przegap

INWESTYCJE
5 LUTEGO

■ Do zarządu Górnośląsko-Zagłębiowskiej Metropolii (GZM) mają trafić uzgodnione listy inwestycji. GZM powstała 1 lipca 2017 r., a zaczęła działać od 1 stycznia 2018 r. Organizacja skupia 41 miast i gmin. Ma zajmować się m.in. transportem i planowaniem przestrzennym.

SEJM
6–8 LUTEGO
Rozpatrzone zostaną:

■ **Projektem ustawy o zmianie ustawy o pomocy społecznej.**

Zgodnie z przygotowywanymi przepisami zadaniem własnym gminy (o charakterze obowiązkowym) będzie udzielenie tymczasowego schronienia osobom bezdomnym – w związku z tym to gmina zgłaszać ma do rejestru wojewody takie miejsca. Są to schroniska dla osób bezdomnych, schroniska dla osób bezdomnych z usługami opiekuńczymi, noclegownie i ogrzewalnie.

■ **Projektem ustawy o zmianie ustawy o rehabilitacji zawodowej i społecznej oraz zatrudnianiu osób niepełnosprawnych oraz niektórych innych ustaw.**

Wprowadzone mają być rozwiązania poprawiające wsparcia dla rodzin w zakresie m.in. usług rehabilitacyjnych przez prowadzenie zajęć klubowych w warsztatach terapii zajęciowej. Warsztaty takie są obecnie finansowane ze środków Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych. Wnioski o dofinansowanie składane są do powiatowego centrum pomocy rodzinie.

8 LUTEGO

■ Odbędzie się posiedzenie parlamentarnego zespołu ds. wspierania młodzieżowych rad przy jednostkach samorządu terytorialnego.

—opr. mk

Dekomunizacyjnie przez Polskę

HISTORIA | Pomniki i tablice sławiące komunizm mają zniknąć z przestrzeni publicznej do końca marca. W tej sprawie w wielu miastach trwają negocjacje między ich mieszkańcami a włodarzami.

AGATA ŁUKASZEWICZ

Lista wkrótce zakazanych „eksponatów" jest bardzo długa. W pierwszej wersji liczyła ok. 600 obiektów. Teraz została nieco okrojona, ale i tak pewne jest, że władze miast będą miały co robić. Część mieszkańców w całej Polsce jest oburzona. Dla wielu to historia, dla innych przyzwyczajenie, jeszcze inni mają swoje problemy, ale o zmianach słyszeć nie chcą.

W Skierniewicach np. polubili i przyzwyczaili się do pomniku-czołgu T-34, który stoi na skwerku przy ul. Sienkiewicza. Na podmurówce jest tablica z napisem: „Polegli na polu chwały podczas wyzwalania Skierniewic 17 stycznia 1945 roku żołnierze Gwardii Armii Radzieckiej". Mimo złych skojarzeń usunięcie czołgu nie wszystkim się podoba. Niezadowoleni podsuwają władzy w Warszawie pomysł, by czołg zostawić, a zburzyć Pałac Kultury i Nauki. Wygląda na to, że wezwanie usłyszał premier Mateusz Morawiecki.

– Jestem za tym, żeby ten relikt panowania komunizmu zniknął z centrum Warszawy – mówi wprost. Wyraża też nadzieję, że kiedyś tak się stanie, bo on sam marzy o tym od 40 lat. Głos zabrali mieszkańcy Warszawy. Przeprowadzono szybką sondę: trzech na czterech badanych uważa, że Pałacu Kultury i Nauki nie należy zburzyć. Za pomysłem było 12 proc. ankietowanych. Na razie Pałac stoi.

Na liście wielkich niewiadomych jest także pomnik Czynu Rewolucyjnego w Rzeszowie. Tamtejszy oddział Instytutu Pamięci Narodowej każe go zburzyć. Prezydent miasta i sami mieszkańcy mówią ostro „nie". Jak cała sprawa się skończy? Zdecyduje wojewoda.

Jak jest w województwie lubelskim? W całym Instytut Pamięci Narodowej wytypował 88 pomników. Przykład? Pomnik poświęcony pamięci Raabego i Czugały. Na ul. Radziszewskiego odsłonięto również ich popiersia.

Z kolei z pl. Hutników w Chorzowie może zniknąć pomnik hr. Fryderyka Wilhelma von Redena, pruskiego ministra z przełomu XVIII i XIX w., pioniera przemysłu, postaci zasłużonej dla rozwoju miasta.

W Puławach natomiast jego los podzieli pomnik z żołnierzami polskim i radzieckim, stojący dziś w centrum miasta.

Ze śląskich ulic powinien zniknąć także gen. Jerzy Ziętek, wojewoda katowicki w latach 1973–1975, choć ta sprawa nie jest jeszcze przesądzona. Protest mieszkańców jest bowiem bardzo silny. IPN w Katowicach uważa, że gen. Ziętek, nazywany przez Ślązaków Jorgiem, był aparatczykiem, należał do PPR i PZPR, odpowiadał za proces utrwalania władzy ludowej na Górnym Śląsku, a jego zasługi jako wielkiego budowniczego są mitologizowane. Dlatego powinien zniknąć z naszych ulic. Na ocenę historyczną mieszkańcy Śląska są głusi. Śląskie miasta dysponują ankietami przeprowadzonymi wśród mieszkańców, którzy opowiadają się za utrzymaniem nazw ulic czy skwerów na cześć „Jorga" .

Wygląda jednak na to, że nie wszystkie źle kojarzące się pomniki trzeba od razu zamieniać w tony gruzu.

Przykład? Zamość i pomnik ku czci jeńców radzieckich. Budzący kontrowersje monument nie zostanie zlikwidowany. IPN nakazał tylko, by usunąć z niego komunistyczny symbol: sierp i młot, a napis informacyjny uzupełnić. Reszta może zostać. ©℗

MARIAN ZUBRZYCKI

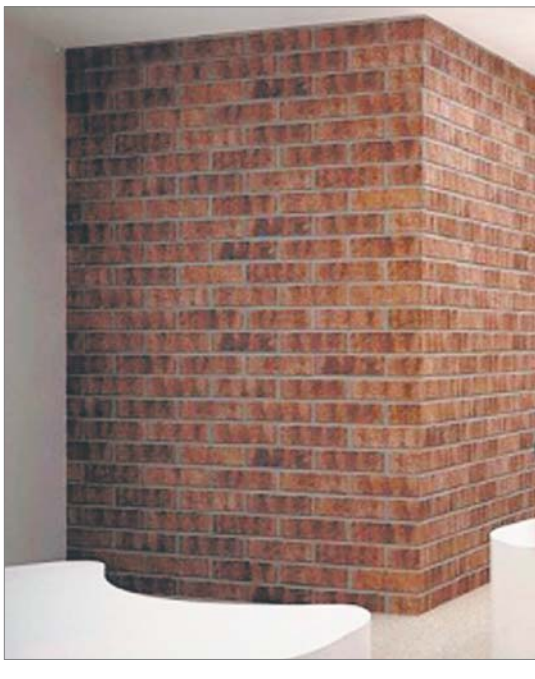

W dawnej łódzkiej elektrowni swoje miejsce znalazło m.in. ultranowoczesne Centrum Nauki i Techniki

Niezwykłe, edukacyjne życie

EDUKACJA | Plany stworzenia Centrum wiedzy o węglu w zabrzańskiej wieży ciśnień to kolejny z pomysłów na popularyzację nauki w zabytkowych budowlach. Tym tropem poszły już m.in. Łódź, Toruń czy Gdańsk.

BARTOSZ KLIMAS

Plany śląskiego centrum nauki szkicowane są od kilku lat. Miało powstać m.in. w chorzowskim parku Śląskim i w byłej elektrociepłowni Szombierki w Bytomiu. Według najnowszych założeń na nową instytucję miałoby złożyć się kilka miejsc, co będzie nie tylko rozwiązaniem tańszym, ale także odzwierciedli charakter metropolii. Wieża ciśnień z 1909 roku będzie jednym z tych miejsc. Carboneum – bo tak nazwano zabrzańskie Centrum wiedzy o węglu – znajdzie się na najwyższym poziomie 46-metrowej budowli.

– Nie mamy na Śląsku ekspozycji traktującej węgiel nie jako kopalinę, ale jako pierwiastek. Dlatego chcielibyśmy pokazać go w oderwaniu od kopalni i energetyki, a skupić się na powstawaniu, krążeniu i roli, jaką odgrywa w naturze – mówi Bartłomiej Szewczyk, dyrektor Muzeum Górnictwa Węglowego. Obecnie w skład zabrzańskiego MGW wchodzą kopalnia Guido i Sztolnia Królowa Luiza. Wieża ciśnień – po odkupieniu z rąk prywatnych – stała się kolejnym elementem muzealnej układanki.

Zgodnie z planem budowla pomieści także kilka innych instytucji, m.in. centrum żywego rzemiosła, centrum aktywizacji społeczno-zawodowej, akademię młodych talentów, akademię seniora i ośrodek dokumentacji górniczej. Wartość przedsięwzięcia oszacowano na ponad 34 mln zł, wysokość dofinansowania ze środków Unii Europejskiej (Regionalny Program Operacyjny Województwa Śląskiego na lata 2014–2020) przekroczy 26,4 mln zł. Prace ruszą już w marcu, potrwają do grudnia 2019 roku.

Drugim z obiektów, które miałyby wejść do centrum nauki, jest Planetarium Śląskie w Chorzowie.– Chcemy je zmodernizować i rozbudować, oczywiście pod pewnymi warunkami, bo to zabytek – zapowiada Henryk Mercik z zarządu województwa śląskiego. Znany jest już autor koncepcji architektonicznej, szacunkowy koszt (blisko 99 mln zł, z czego 82,5 mln zł z Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Śląskiego na lata 2014–2020) oraz termin zakończenia prac – rok 2020.

Zdaniem zarządu województwa, obiektów składających się na śląskie centrum nauki powinno być około pięciu. – Myślę, że nie może być ich za dużo, nie powinny być też zbyt oddalone od siebie. Mamy już kolejne pomysły – zapewnia Henryk Mercik.

Młyn wiedzy

Pomysł budowy centrów nauki w rewitalizowanych obiektach – zwłaszcza poprzemysłowych – zyskuje na popularności. W Toruniu działa otwarte w 2013 roku Centrum Nowoczesności – w tym przypadku za lokal posłużyły odrestaurowane budynki dawnych młynów Richtera z przełomu XIX i XX wieku. Zwiedzający mają do dyspozycji ponad pięć tysięcy metrów kwadratowych na siedmiu kondygnacjach. Decyzja o budowie Centrum – a jednocześnie ocaleniu niszczejących budynków – zapadła w 2006 roku, cztery latach później podpisano odpowiednie umowy o dofinansowaniu ze środków Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego (ponad 13 mln złotych z RPO Województwa Kujawsko-Pomorskiego na lata 2007–2013). Całkowita wartość projektu CN, łącznie z wkładem Gminy Miasta Toruń, przekroczyła 20 mln zł. W 2012 roku, w wyniku konkursu, instytucja zyskała pełną nazwę: Centrum Nowoczesności Młyn Wiedzy.

Po renowacji i adaptacji dawnych silosów zbożowych i młyna żytniego powstało nowoczesne centrum naukowe, w którym odchodzi się od formuły: „patrz, ale nie dotykaj" na rzecz: „dotknij, sprawdź". Wizytówką instytucji jest Wahadło Foucaulta, umożliwiające obserwację zjawiska obrotu Ziemi wokół własnej osi. Sercem eksponatu jest 35-kilogramowa chromowana kula wypełniona piaskiem, zawieszona na 33-metrowej linie, biegnącej od dachu po parter. Dzięki temu wahadło jest widoczne z każdego piętra.

W młynach swoje miejsce znalazły także dwie inne instytucje – Toruński Inkubator Technologiczny Business Link dzieli siedzibę z Centrum Nowoczesności, a w sąsiednich, także odnowionych budynkach (dawny młyn pszenny i magazyn otrąb) działa Międzynarodowe Centrum Spotkań Młodzieży. Trwa adaptacja kolejnych okołomłyńskich zabudowań. Jej celem – jak mówi Marcin Centkowski, rzecznik Centrum Nowoczesności – jest stworzenie przestrzeni, która pomoże młodym w procesie enkulturacji, czyli nabywania zdolności do uczestnictwa w kulturze. Innymi słowy, ułatwi rozpoznanie własnych zainteresowań i pasji – budowane tu sale będą tu służyć jako wystawowe, ale też warsztatowe, pokazowe, szkoleniowe i konferencyjne.

Całkowita wartość przedsięwzięcia sięga 18 mln złotych (w tym ponad 12 mln zł z Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego), zakończenie prac planowane jest na drugą połowę 2019 roku.

Twierdza nauki

O ile toruńskie Centrum Nauki odwołuje się do Mikołaja Kopernika (m.in. poprzez wystawę stałą „O obrotach"), o tyle Gdańsk stawia na Jana Heweliusza. Działające od dekady na Górze Gradowej Centrum Hewelianum zajęło 20-hektarowy teren dawnego fortu wojskowego (to

OPINIA DLA „ŻR"

Hanna **Zdanowska**
prezydent Łodzi

MAT. PRAS.

Czuję dumę, że po tylu latach inwestycji w EC1 uruchomiono kolejny element układanki, bo przecież Centrum Nauki i Techniki dołączyło do innych, działających i powstających w tym miejscu atrakcji – planetarium czy Narodowego Centrum Kultury Filmowej.
To będzie hit zarówno dla łodzian, jak i mieszkańców całej Polski. Wszystkie klasy szkolne były już w Koperniku, teraz zaczną się wycieczki do CNiT w Łodzi. Pięć pięter niesamowitych wrażeń, mnóstwo dotykowych eksponatów – dzieci, ale i dorośli, przekonają się na własnej skórze, jak powstaje energia, poczują, jak to jest, kiedy leci się w kosmos. To niesamowita frajda. No i ceny – bardzo konkurencyjne. A wszystko o pięć minut spaceru od nowego dworca Łódź Fabryczna, na terenie Nowego Centrum Łodzi – tworzącej się dzielnicy mieszkaniowo-biurowej, biznesowej, handlowej, kulturalnej. To będzie serce miasta. ©℗

UM ZABRZE

Wieża ciśnień w Zabrzu ma się zamienić w Carboneum

HEWELIANUM

Gdańskie Centrum Hewelianum zagospodarowało teren XIX-wiecznego fortu

zabytkowych murów

ewenement na skalę europejską). Tam młyn wiedzy, tu twierdza nauki.

Budowle, które przetrwały do dziś, powstawały w drugiej połowie XIX wieku, ale fortyfikacje wznoszono tu już w wieku XVII. Na przełomie XIX i XX w. obiekt zaczął tracić na znaczeniu militarnym, studenci zaś, którzy wprowadzili się tu w 20-leciu międzywojennym, przypieczętowali upadek wojskowego porządku. W historię obiektu wpisał się jeszcze Wehrmacht, który zajął tu pozycje w 1939 roku, po drugiej wojnie działała w tym miejscu zagłuszarka Radia Wolna Europa. Plany przekształcenia dawnego fortu w centrum nauki pojawiły się w 1997 roku, pierwszy etap prac konserwatorskich objął 18 obiektów o łącznej powierzchni 1500 mkw. Goście wkroczyli do Hewelianum w roku 2008. I tak budynki dawnych koszar przeobraziły się w ekspozycję podróżniczą, stanowisko baterii moździerzy – w wehikuł czasu, dawną zaś kaponierą zawładnęła ekspozycja na temat energii.

Atutem obszernego fortu jest możliwość spaceru ścieżkami przyrodniczymi – warto, bo zaobserwowano tu m.in. kilkadziesiąt gatunków ptaków chronionych i kilka gatunków nietoperzy. Centrum działa, ale na rozległym terenie wciąż trwa rewaloryzacja i rewitalizacja. Końca dobiegają prace nad adaptacją wozowni artyleryjskiej z lat 70. XIX wieku – pomieszczą się w niej sale konferencyjne i restauracja.

– Obiekt jest niezwykle cenny pod względem architektonicznym, stanowi przykład konstrukcji szkieletowej z widocznymi zarówno na zewnątrz, jak i wewnątrz elementami konstrukcyjnymi. To jedyny tego typu budynek na terenie Centrum Hewelianum – podkreśla Monika Lisowska, p.o. dyrektor CH.

Wkrótce rozpocznie się rozbudowa kaponiery południowej – powstanie tu obiekt podziemny ze sferyczną salą przeznaczoną do projekcji multimedialnych. Prace ruszą połowie tego roku, a zakończą w 2020 r. Budżet obu inwestycji sięgnie 32 mln złotych (w tym dofinansowanie z Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego w wys. 20 mln zł).

Energia umysłu

Od stycznia działa szczególnie imponujący przykład połączenia starego z nowym. Centrum Nauki i Techniki w łódzkim EC1 – czyli dawnej elektrowni miejskiej – zajmuje ponad 18 tysięcy mkw. i może przyjąć dwa tysiące gości dziennie.

EC1 Łódź – Miasto Kultury – jednostka, w której obok Centrum Nauki i Techniki znajdą się m.in. Narodowe Centrum Kultury Filmowej oraz Centrum Komiksu i Narracji Interaktywnej – to przedsięwzięcie wagi ciężkiej. 86 mln złotych, które EC1 otrzyma z funduszy Unii Europejskiej na lata 2014–2020, to rekord polski wśród instytucji kultury – chwalą się łodzianie. Wcześniej, w latach 2008-2015, Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego dofinansował rewitalizację budynków dawnej elektrowni kwotą ponad 82 mln złotych (całkowity koszt inwestycji w tamtym okresie przekroczył 265 mln zł).

– Jesteśmy dumni. To w dużej mierze dzięki tym środkom możemy dziś pochwalić się niezwykłym obiektem – zabytkową elektrownią z początku minionego stulecia o niezwykłych walorach architektonicznych, ulokowaną w sercu miasta – mówi Błażej Moder, dyrektor EC1. – Już sama skala transformacji i remontu jest olbrzymia. Wystarczy porównać zdjęcia z 2010 roku z obecnym stanem.

Centrum Nauki i Techniki zachwyca pierwszych gości. Jedna z trzech wystaw stałych, „Przetwarzanie energii", wiąże z duchem miejsca – to stąd w 1908 roku popłynął prąd dla miasta. Wspomnieniem tamtych czasów jest m.in. mapping (projekcja wyświetlana na budynku lub, jak w tym przypadku, na urządzeniu) pozwalający „zajrzeć" do wnętrza historycznego turbogeneratora, który pracował w elektrowni od 1930 roku – prezentacja pokazuje, co działo się wewnątrz maszyny. Obok, strefa „Mikroświat – makroświat" opowiadająca o tym, czego nie można dostrzec gołym okiem – dlatego że jest tak małe albo dlatego że jest tak daleko. Trzecia ze ścieżek, „Rozwój wiedzy i cywilizacji", opowiada o historii nauki – od zasad rządzących przyrodą, przez prawa naukowe, po stworzone dzięki nim wynalazki. Koszt aranżacji, wykonania ekspozycji i wyposażenia CNiT to 45 mln złotych. Kolejne 20 mln ma kosztować planowane poszerzenie ekspozycji.

Ofertę popularnonaukową EC1 uzupełnia działające od końca 2015 roku Planetarium, jedno z najnowocześniejszych w Europie. Pod kopułą o średnicy 18 metrów znajduje się sferyczny ekran o średnicy 14 metrów i rozdzielczości 8K – ponadczterokrotnie wyższej niż w standardzie Full HD. Tak XIX wiek łączy się z wiekiem XXI. ©℗

45 mln zł

kosztowało przygotowanie ekspozycji łódzkiego Centrum Nauki i Techniki

OPINIA — DLA „ŻR"

Małgorzata **Mańka-Szulik**
prezydent Zabrza

MAT. PRAS.

Zabrze, czerpiąc z poprzemysłowego dziedzictwa, postawiło na rozwój turystyki industrialnej. Już blisko 140 tys. gości rocznie odwiedza nasze obiekty: kopalnię Guido czy sztolnię Królowa Luiza. W podziemiach kopalni Guido organizujemy również wydarzenia kulturalne, edukacyjne czy rekreacyjne.
Doświadczenia czerpaliśmy od sąsiadów z Zachodu. Niemcy w kompleksie przemysłowym kopalni i koksowni Zollverein w Essen pokazali, jak można chronić dziedzictwo poprzemysłowe i jak z tego dziedzictwa zrobić imponujący użytek. Dziś możemy powiedzieć, że mamy perełki, które z dumą prezentujemy turystom i to my dzielimy się dobrymi praktykami. Nasze obiekty współtworzą Szlak Zabytków Techniki Województwa Śląskiego, są też rozpoznawalnym punktem na Europejskim Szlaku Dziedzictwa Przemysłowego. Poza kopalnią Guido Zabrze zaprasza do sztolni Królowa Luiza z kopalnią Królowa Luiza, parkiem 12C z atrakcjami dla najmłodszych czy szybem Carnall. Ciągle rozbudowujemy ofertę, czego przykładem jest rewitalizacja wieży ciśnień. Jestem przekonana, że ten obiekt już wkrótce będzie kolejną perełką Zabrza. ©℗

Ważne inwestycje

Rzeszów rozbudowuje halę widowiskowo-sportową Podpromie.

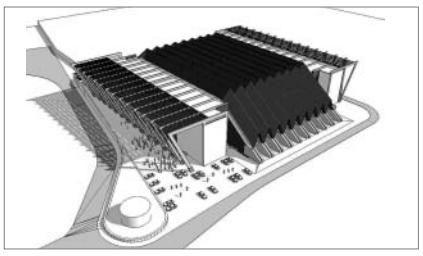

Po przebudowie hala będzie mogła pomieścić 7 tys. widzów (obecnie ok. 4,3 tys.), na widowni powstaną też tzw. loże VIP-owskie. Powierzchnia powiększy się o 40 tys. mkw., które zostaną zagospodarowane m.in. na zaplecze odnowy biologicznej i siłownie dla sportowców (na hali trenują m.in. rzeszowskie drużyny siatkówki), salę konferencyjną, a także kompleks gastronomiczny. Prace mają ruszyć wiosną tego roku (choć ze względu na dużą ilość zapytań miasto ostatnio przedłużyło termin składania ofert w przetargu do 7 lutego), a zakończyć jesienią 2019 r. Szacunkowy koszt tej inwestycji wynosi 37,5 mln zł.

Łódź rozpoczyna projekt nr 1 w ramach programu „Rewitalizacja obszarowa centrum Łodzi".

Przewiduje on kompleksową renowację zabytkowej nieruchomości przy ul. Pogonowskiego 34. Po przebudowie budynek ma zachować funkcje społeczne, mieścić m.in. Centrum Treningu Umiejętności Społecznych, Klubokawiarnię, klub podwórkowy czy pracownie twórcze. W ostatnim tygodniu stycznia został wyłoniony wykonawca – firma Mosty Łódź, a koszt tej inwestycji to ok. 13,4 mln euro. Ciekawostką jest, że miasto wymaga, by wykonawca zatrudnił minimum jedną osobę bezrobotną. Za to w przetargu dotyczącym projektu nr 3 nie wybrano wykonawcy i całą procedurę trzeba powtórzyć.

Warszawa przygotowuje się do budowy ostatniego odcinka II linii metra na Bemowie.

Chodzi o prawie 4-kilometrowy odcinek od stacji Powstańców Śląskich do stacji postojowej Mory. Kontrakt przewiduje zaprojektowanie i budowę m.in. tuneli, trzech stacji metra i zagospodarowanie terenu wokół nich oraz powiązań z zachodnim odcinkiem II linii. Prace mają potrwać 50 miesięcy, a przewidywany termin oddania tego odcinka do użytkowania to 2023 r. Zakończy on budowę II linii, która obecnie ma siedem czynnych stacji. Docelowo linia ma liczyć 21 stacji – sześć jest w budowie (trzy na Woli oraz trzy na Targówku), a po ich zakończeniu ruszą pracę nad kolejnymi pięcioma. ©℗ *—acw*

Reklama dźwignią chaosu

PRZESTRZEŃ PUBLICZNA | Samorządowe kodeksy reklamowe mają poprawić wygląd miast. Wcale nie jest jednak pewne, czy będą skuteczne.

GRZEGORZ ŁYŚ

Od początku nowego roku wszystkie banery reklamowe w Łodzi – a jest ich ok. 100 tys. – uznawane są, mocą przepisów uchwalonego w listopadzie 2016 r. miejskiego „kodeksu reklamowego", za nielegalne. Na razie ich właściciele będą o tym jedynie informowani, ale wkrótce narażą się na kary, które w przypadku większych reklam mogą sięgnąć nawet kilku tysięcy złotych za miesiąc.

Czy radykalna, pierwsza w kraju próba całkowitej likwidacji banerów (dopuszczalne będą jedynie tzw. okolicznościowe, promujące zbliżającą się imprezę sportową lub kulturalną), stanowiących symbol lekceważenia przestrzeni publicznej w Polsce „szmat", powiewających na ogrodzeniach i elewacjach budynków się powiedzie, nie jest wcale pewne. „Kodeks" został bowiem w czerwcu 2017 r. zaskarżony przez wojewodę łódzkiego oraz firmy z branży reklamowej do Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego. Zdaniem skarżących narusza m.in. prawa właścicieli już istniejących reklam. WSA uznał uchwałę rady miasta za niezgodną z prawem. Na razie jednak obowiązuje, bo wyrok jest nieprawomocny, a po odwołaniu miasta sprawą zajmuje się Naczelny Sąd Administracyjny. Łódzki ratusz zapowiada już, że w razie niekorzystnego orzeczenia uchwali w najszybszym możliwie terminie nowe, poprawione przepisy.

Rozstrzygnięcie tego precedensowego sporu i dalsze losy łódzkiego kodeksu dadzą odpowiedź na ważne pytanie. Czy obowiązująca od września 2015 „ustawa krajobrazowa", która przyznała samorządom prawo do ustalania w formie uchwały m.in. lokalnych przepisów dotyczących nośników reklamy, może być efektywnym instrumentem zaprowadzania porządku i zasad estetyki w przestrzeni miejskiej, czy też stanie się kolejnym przykładem bezradności władz państwowych i samorządowych.

Ban nie tylko na banery

Tak naprawdę banery, jeden z głównych powodów chaosu wizualnego w polskich miastach, są jednak tylko uciążliwym planktonem. Znacznie poważniej – jako że chodzi o naruszenie interesów profesjonalnych firm reklamowych – zapowiada się walka o ograniczenie możliwości wykorzystywania billboardów na ścianach budynków i wolno stojących tablic reklamowych oraz m.in. wielkoformatowych siatek na elewacjach.

– Stoimy na stanowisku, że ograniczenie liczby billboardów będzie się wiązało ze wzrostem wartości tych, które pozostaną legalne, co pozwoli utrzymać przychody firm na podobnym poziomie – wyjaśnia Aleksandra Hac z Urzędu Miasta Łodzi.

Już teraz za nielegalne uznaje się tablice emitujące światło oraz wyświetlające zmieniające się obrazy. Przepisy regulujące lokalizację i formę billboardów, tablic i innych „urządzeń reklamowych" będą wprowadzane stopniowo, by z upływem ostatnich pięcioletnich okresów przejściowych, w 2022 r., objąć całe miasto. Łódź przyjęła i wprowadziła w życie kodeks reklamowy, jako pierwsze i jedyne, jak dotąd, duże miasto. Do połowy ub.r. na skorzystanie z upoważnienia, przyznanego ustawą krajobrazową, zdecydowały się oprócz Łodzi ponadto tylko dwa miasta, Ciechanów (jako pierwszy samorząd w kraju) i Opole oraz dwie gminy wiejskie, Kobylnica, w pobliżu Słupska, oraz Baranów w woj. lubelskim.

– Systematyczna obserwacja reklam przez urząd miejski potwierdziła ich złą jakość oraz w większości chałupniczy i barbarzyński charakter. Dlatego władze miasta postanowiły natychmiast skorzystać z nowego ustawowego uprawnienia – wyjaśnia arch. Andrzej Kalinowski, kierownik Wydziału Planowania Przestrzennego i Gospodarki Nieruchomościami Urzędu Miasta Ciechanowa. – Niespełna rok od chwili, gdy zaczęła obowiązywać po upływie okresów przejściowych, to za mało, by ocenić jej skuteczność. Liczba reklam została jednak już zmniejszona, a z niektórych elewacji i ogrodzeń zniknęły one całkowicie.

Zabytki okupowane

Jak na razie samorządy próbują powstrzymać zalew nielegalnej reklamy zewnętrznej, korzystając z dotychczasowych możliwości prawnych. Radzą sobie lepiej lub gorzej, ale na ogół gorzej. Wynika to z raportu NIK „Kształtowanie krajobrazu i przestrzeni publicznej w miastach" z grudnia 2017 r. Jak stwierdzili inspektorzy Izby, znaczący postęp w eliminowaniu nielegalnej reklamy i istotną poprawę estetyki przestrzeni publicznej osiągnięto w staromiejskich dzielnicach Krakowa i Wrocławia. To przede wszystkim efekt objęcia najcenniejszej zabytkowej zabudowy tych miast granicami, utworzonych w ostatnich latach „parków kulturowych", i konsekwentne egzekwowanie przepisów o ich ochronie. W Krakowie liczba „nośników informacji wizualnej" i szyldów na Rynku Głównym oraz na Floriańskiej, Grodzkiej, Sławkowskiej i Szewskiej spadła z 1413 w 2011 r. do 887 w 2013 r., czyli o 37 proc. W następnych latach postęp był już mniejszy, niemniej jednak reklam na Starym Mieście jest dziś, po siedmiu latach, o połowę mniej. We Wrocławiu na obszarze parku kulturowego udało się usunąć 658 „naruszeń".

– Utworzenie parku dało nam realną możliwość kształtowania krajobrazu przestrzeni publicznej. Sytuacja jest klarowna: wiemy, co ten krajobraz psuje, a co nie. Największym problemem w centrum Wrocławia były reklamy zasłaniające zabytkowe kamieniczki. Priorytetowe zadanie – usunięcie 32 megareklam, 23 billboardów, 67 citylightów, wymiana słupów ogłoszeniowych – zrealizowane zostało w latach 2015–2016 w 100 proc. Ponadto znacząco, o 171, spadła liczba banerów i stojaków reklamowych, a w wielu lokalach użytkowych zlikwidowano „wyklejanki" i przywrócono tradycyjną aranżację witryn – wylicza Beata Kleszcz, koordynator ds. Parku Kulturowego we Wrocławiu.

W ciągu roku od utworzenia latem 2016 r. Parku Kulturowego, obejmującego Krupówki wraz z najbliższym otoczeniem, częściowo opanowano bezład wizualny od lat panujący na reprezentacyjnym deptaku Zakopanego. Reklamy wielkoformatowe zniknęły np. z elewacji domu handlowego Granit. Nic natomiast nie wynika z istnienia i to już od 10 lat „Parku Kulturowego Kotliny Zakopiańskiej". Mieszkańcy miasta są bowiem przeświadczeni, a lokalne władze to przekonanie podzielają, że reglamentacja reklam, obejmująca całe miasto, podcięłaby skrzydła biznesowi turystycznemu.

Tylko sporadycznie plagą reklamy zajmują się konserwatorzy zabytków. W rezultacie większość nośników reklamowych na zabytkowych murach znajduje się tam wbrew prawu. Według inspektorów NIK, którzy skontrolowali 166 zabytków, na każdym z nich wiszą średnio dwa nielegalne szyldy, tablice czy banery. Przeszkodą dla ekspansji reklamowej nie są także w praktyce miejscowe plany zagospodarowania przestrzennego ani nawet przepisy chroniące pas drogowy. Po oględzinach ponad tysiąca reklam stwierdzono, że 58 proc. z nich umieszczono w pasach drogowych nielegalnie lub niezgodnie z warunkami decyzji – najwięcej w Zakopanem (97 proc.) i Wrocławiu (84 proc.).

– Likwidowanie nielegalnych reklam poza obszarem Parku Kulturowego czy pasów drogowych jest znacznie trudniejsze. W przypadku nieruchomości prywatnych pozostają procedury administracyjne, długie i mało efektywne – wyjaśnia Beata Kleszcz.

Nieco optymizmu

Dlatego Wrocław chce pójść krok dalej – projekt „uchwały krajobrazowej" ma trafić do rady miejskiej jesienią br. – Mamy świadomość, że samo jej przyjęcie nie zmieni stanu miejskiej przestrzeni publicznej. Będzie to długi i żmudny proces. Jednak efekty uchwały o ochronie Parku Kulturowego dają nadzieję i determinację do dalszych działań w porządkowaniu krajobrazu Wrocławia – podkreśla Beata Urbanowicz, koordynator ds. wystroju plastycznego miasta.

Dobre doświadczenia z Parkiem Kulturowym napawają optymizmem również władze Łodzi. – W ciągu kilku lat udało się nam uporządkować, dzięki przepisom wprowadzonym na terenie Parku, reklamy przy reprezentacyjnej ulicy miasta, Piotrkowskiej. Kodeks jest narzędziem podobnym, dającym jednak możliwość szybszego egzekwowania wyższych niż w przypadku Parku Kulturowego kar – ocenia Aleksandra Hac.

Jednak, jak podkreślają samorządowcy, „walka z dziką reklamą nigdy się nie kończy". Zlikwidowana szybko się bowiem odradza, niekiedy jak hydra, bo na miejsce jednej tablicy reklamowej pojawiają się dwie–trzy inne. Ochrona ulic i budynków wymaga, oprócz stanowczości, także wielkiej konsekwencji.

– Osoby czerpiące pożytki z umieszczenia reklam chcą interpretować przepisy na własny, wygodny dla siebie sposób – podkreśla Andrzej Kalinowski. Mimo to jestem przekonany, że kodeksy reklamowe staną się skutecznym narzędziem ochrony przestrzeni publicznej. ©℗

Inteligentna baza sukcesu

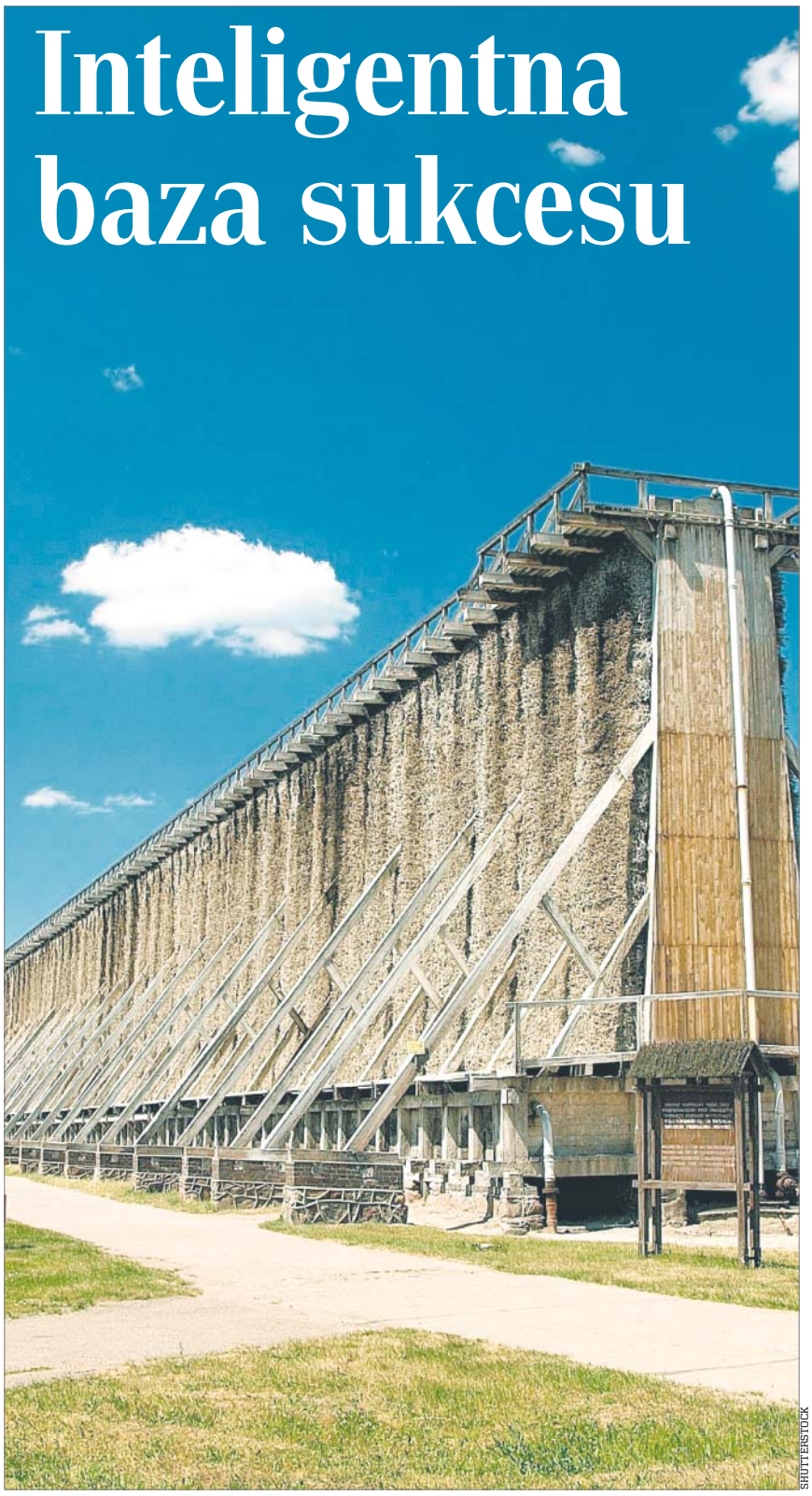

SHUTTERSTOCK

Wykorzystywane leczniczo i rekreacyjnie złoża solanki i wód termalnych oraz sanatoria to dla Kujaw biznes i miejsca pracy

GOSPODARKA | Jednym z ważnych kryteriów prowadzenia lokalnej polityki gospodarczej są tzw. inteligentne specjalizacje. To one mają kreować potencjał regionów.

RAFAŁ MIERZEJEWSKI

Aż 10 polskich województw widzi szansę szczególnie szybkiego rozwoju dzięki sektorowi ICT/multimediów, dziewięć regionów wybrało biogospodarkę – to najczęściej wskazywane tzw. inteligentne specjalizacje, które mają stanowić ich rozwojowy wyróżnik. Przedsiębiorstwa prowadzące działalność w tych obszarach mają preferencje przy przyznawaniu środków unijnych, w tym zwrotnych pożyczek.

Idea inteligentnych specjalizacji dojrzewała na Starym Kontynencie od końca lat 80. XX w. W obecnej formule istnieje od 2010 roku, czyli daty opracowania Strategii Europa 2020. Po doświadczeniach poprzedniej perspektywy budżetowej UE oraz mizernych efektach wdrożenia Strategii Lizbońskiej w Brukseli zdecydowano, że środki przeznaczane na wsparcie innowacji oraz konkurencyjność w latach 2014–2020 powinny być wydawane lepiej i skoncentrowane na najbardziej obiecujących obszarach, które mogą być uznane za gospodarczą specjalizację regionu.

Przykład ze Szwecji

W zachodniej Europie planowanie publiczne w ramach inteligentnych specjalizacji upowszechniło się już w 2011 roku. Dr hab. Wojciech Drożdż z Wydziału Zarządzania i Ekonomiki Usług Uniwersytetu Szczecińskiego wskazuje na przypadek regionu Skåne położonego w południowej Szwecji. Region ma ambicje stać się do 2020 roku najbardziej innowacyjnym w UE, choć już dziś nie należy do słabeuszy. Dawniej był stoczniową potęgą, z czasem przyciągał jednak coraz więcej przedsiębiorstw usługowych. To one, wsparte wysokim potencjałem technicznym, informatycznym czy medycznym lokalnych uczelni, przyczyniły się do powstania dobrze funkcjonujących klastrów. Ustalono, że regionalnymi inteligentnymi specjalizacjami będą zdrowie osobiste, produkcja dóbr i usług spod znaku inteligentnego miasta oraz materiałów inteligentnych.

Skåne może świecić przykładem w Europie między innymi ze względu na zabiegi, jakie przeprowadzono przy ich definiowaniu. W Szwecji, podobnie jak w Polsce, w ostatnich kilkunastu latach wykształcił się szereg instytucji otoczenia biznesu, wspierających proinnowacyjny interwencjonizm. Władze regionu zauważyły, że wiele z nich nie komunikuje się między sobą, a elementem koncepcji regionalnych inteligentnych specjalizacji ma być współpraca i wspólna świadomość przewag konkurencyjnych wśród biznesu oraz administracji. W pierwszym kroku wskazano 54 czołowe organizacje i przedsiębiorstwa, które powinny poprawić kooperację. Powstało także specjalne ciało doradczo-decyzyjne: Rada ds. Badań i Innowacji Regionu Skåne, skupiająca kadrę zarządzającą spółek, polityków, przedstawicieli uczelni i administracji. Powołano także dwie inne instytucje, które mają koordynować pracę spółek, klastrów, uczelni czy inkubatorów przedsiębiorczości.

Polska się zbiera

Według raportu „Indeks Millennium 2017. Potencjał innowacyjności regionów" województwem o najsłabszym wyniku jest lubuskie. Władze regionu zamierzają uczynić z koncepcji inteligentnych lewar, poprawiający ten stan rzeczy.

– Specjalizacje są filarami, na których opieramy rozwój gospodarczy. To te dziedziny, w których już mamy spory potencjał. Odpowiednio wsparte, przede wszystkim przez instytucje naukowe i badawczo-wdrożeniowe, powinny stać się lokomotywami rozwoju – mówi Elżbieta Anna Polak, marszałek województwa lubuskiego. Lubuskie widzi przyszłość w zielonej gospodarce, zdrowiu i jakości życia w regionie oraz innowacyjnym przemyśle. Podobne obszary wskazali przedsiębiorcy w ankiecie przeprowadzonej na przełomie 2017 i 2018 roku dotyczącej potencjału badawczo-naukowego w firmach. Dobre wyniki miały między innymi elektronika, automatyka i robotyka oraz przemysł metalowo-maszynowy. To sektory krzyżujące się z ostatnią z lubuskich specjalizacji. – Głównym instrumentem jest tu jedna z osi priorytetowych Regionalnego Programu Operacyjnego, wspierająca aktywność badawczo-rozwojową przedsiębiorstw. Na ten cel przeznaczyliśmy ponad 200 mln zł. To pieniądze wyłącznie na działania w obszarach wskazanych jako inteligentne specjalizacje regionu. Natomiast w innych priorytetach inwestycyjnych takie projekty są premiowane dodatkowymi punktami – wyjaśnia Elżbieta Anna Polak.

Nie najlepiej w dziedzinie innowacji wypada również województwo kujawsko-pomorskie. W regionie przyjęto bardzo długą listę inteligentnych specjalizacji, na której najważniejsze to bezpieczna żywność, medycyna i zdrowotne usługi turystyczne, motoryzacja i automatyka przemysłowa.

– Specjalizacja związana z produkcją żywności nie wymaga komentowania. Już jesteśmy w tej dziedzinie krajowym potentatem. Zakładamy, że nasza żywność będzie rozpoznawalną w Europie. Z kolei medycyna, którą opieramy na solidnie zmodernizowanych, dobrze wyposażonych placówkach i wysoko wykwalifikowanych kadrach medycznych oraz zasobach i marce naszych uzdrowisk, powinna umożliwić czerpanie zysków z turystyki zdrowotnej. Kujawsko-pomorskie jest jednym z krajowych liderów w lecznictwie uzdrowiskowym. Wykorzystywane leczniczo i rekreacyjnie złoża solanki i wód termalnych, sanatoria, szpitale uzdrowiskowe i wszystko to, co łączy się z obsługą kuracjuszy, to biznes i miejsca pracy – mówi Piotr Całbecki, marszałek województwa kujawsko-pomorskiego. Region, podobnie jak inne, realizuje koncepcję inteligentnych specjalizacji głównie dzięki środkom unijnym. Kryterium RIS jest ważne nie tylko przy staraniach o zwykłe dotacje, ale i przy aplikowaniu o wsparcie na usługi szkoleniowe oraz tworzenie programów dualnego szkolnictwa zawodowego. ©℗

OPINIA DLA „ŻR"

Marek **Woźniak**

marszałek woj. wielkopolskiego

MAT. PRAS.

W Wielkopolsce zidentyfikowaliśmy inteligentne specjalizacje zgodnie z metodologią rekomendowaną przez Komisję Europejską. Proces obejmował badania m.in. specjalizacji naukowych, branż dominujących, analizę potrzeb przedsiębiorstw, ankiety. Zakresy specjalizacji zostały doprecyzowane podczas konsultacji – łącznie w procesie identyfikacji IS w latach 2013–2014 wzięło udział ponad 4000 podmiotów. Wdrażając w praktyce tę ideę, musimy postawić na nasze najsilniejsze strony, wzmacniając najbardziej wartościowe zasoby.

Obszary inteligentnych specjalizacji Wielkopolski to dziedziny, w których nasz region może przodować, konkurować, to m.in. przemysł jutra oraz biosurowce i żywność dla świadomych konsumentów. Pamiętajmy, że inteligentne specjalizacje to nie tylko silne lokalnie branże, ale i swoiste połączenie rodzimego dorobku naukowego, technologii, inżynierii z wiedzą o lokalnym rynku i potrzebach biznesowych. Identyfikacja inteligentnych specjalizacji była warunkiem koniecznym do uruchomienia części finansowania w ramach Wielkopolskiego Regionalnego Programu Operacyjnego, stąd też, podobnie jak w innych regionach Polski, jest to główny instrument wsparcia obszarów inteligentnych specjalizacji. ©℗

Gdzie zniknęło bezrobocie

RYNEK PRACY | W kilkunastu miastach i powiatach bezrobocia już praktycznie nie ma. Ale wciąż są w Polsce miejsca, gdzie co piąty mieszkaniec nie może znaleźć pracy.

ANNA CIEŚLAK-WRÓBLEWSKA

Jeszcze kilka lat temu wydawało się, że wysokie bezrobocie będzie nam towarzyszyć wiecznie. Tymczasem 2017 r. pokazał, że poprawa na rynku pracy może być na tyle szybka, by zacząć marzyć o pożegnaniu się z tym problemem (przynajmniej na jakiś czas).

Stopa bezrobocia spadła na koniec ubiegłego roku do rekordowo niskiego poziomu 6,6 proc. W szybkim tempie przybyło w Polsce miejsc, w których trudności ze znalezieniem pracy w zasadzie nie ma. Dane GUS pokazują, że już w 35 polskich miastach i powiatach bezrobocie wynosi poniżej symbolicznej granicy 3,5 proc., uznawanej przez ekspertów za poziom naturalny. Pięć lat temu takich miejsc w ogóle nie było.

Wyjątkowo dobra sytuacja jest w Poznaniu i trzech wielkopolskich powiatach (wolsztyńskim, poznańskim i kępińskim), gdzie bez pracy pozostaje zaledwie od 1,4 proc. (w Poznaniu) do 1,9 proc. aktywnych mieszkańców. – Można rzeczywiście powiedzieć, że bezrobocia w naszym powiecie już nie ma – komentuje Sylwia Tomiak-Rozynek, dyrektor Powiatowego Urzędu Pracy w Wolsztynie. – Nie mamy tu dużych zakładów, mamy za to 3–4 tys. małych firm, które też się rozwijają i potrzebują rąk do pracy – zaznacza. Dodaje jednak, że nie oznacza to, iż urząd nie ma co robić. – Wprost przeciwnie, teraz mamy problem, jak dostarczyć pracodawcom potrzebną siłę roboczą – wyjaśnia.

1,1 mln osób

było bezrobotnych na koniec 2017 r. To o 1,1 mln mniej niż 5 lat temu

O znakomitej sytuacji można mówić w przypadku metropolii (Trójmiasto, Katowice, Wrocław, Kraków i Szczecin), ale też mniejszych miast, takich jak Bielsko-Biała, Gorzów Wielkopolski, Tychy, Kalisz i Krosno.

Lista miasta i powiatów z bezrobociem na niskim poziomie (3,5–5 proc.) liczy dziś 44 pozycje, podczas gdy pięć lat temu były na niej cztery samorządy.

Ale nie wszędzie poprawa następuje tak szybko. Na koniec 2017 r. w prawie 130 miejscach w Polsce bezrobocie wciąż przekraczało 10 proc. W czterech zaś powiatach (łobeski, braniewski, bartoszycki, szydłowiecki) aż co piąty aktywny mieszkaniec był zarejestrowany w urzędzie pracy.

W powiecie ostrowieckim (woj. świętokrzyskie) bezrobocie przekracza 12 proc. – Ale widać poprawę – podkreśla Marzena Dębniak, wiceprezydent Ostrowca Świętokrzyskiego. – M.in. dzięki naszym działaniom w ciągu trzech lat udało się zlokalizować na terenie miasta kilka zakładów produkcyjnych i usługowych, dających ponad 500 nowych miejsc pracy. I mamy perspektywy na więcej – dodaje. W całym powiecie w ciągu pięciu lat stopa bezrobocia spadła o prawie 10 pkt proc.

– Cóż, ciągle borykamy się z bagażem przeszłości – mówi z kolei Grzegorz Tokarski, zastępca dyrektora Powiatowego Urzędu Pracy w Łobzie (woj. zachodniopomorskie), gdzie bezrobocia w grudniu sięgało 21,3 proc. Przypomina, że przez wiele lat nie udało się wypełnić pustej przestrzeni w lokalnej przedsiębiorczości, która powstała po upadku PGR. Podkreśla jednak, że i tu jest coraz lepiej. W urzędzie pracy jest zarejestrowanych 2,3 tys. osób, czyli prawie trzy razy mniej niż w momencie, gdy było ich rekordowo dużo (6,14 tys.). – Lokalni przedsiębiorcy są zainteresowani pozyskaniem pracowników, choć trzeba dodać, że poszukują osób o konkretnym wykształceniu i umiejętnościach, które nie zawsze odpowiadają kwalifikacjom naszych bezrobotnych. Staramy się więc organizować indywidualne szkolenie, by dopasować podaż pracy do popytu – podkreśla dyrektor Tokarski. ©℗

REKLAMA 828116

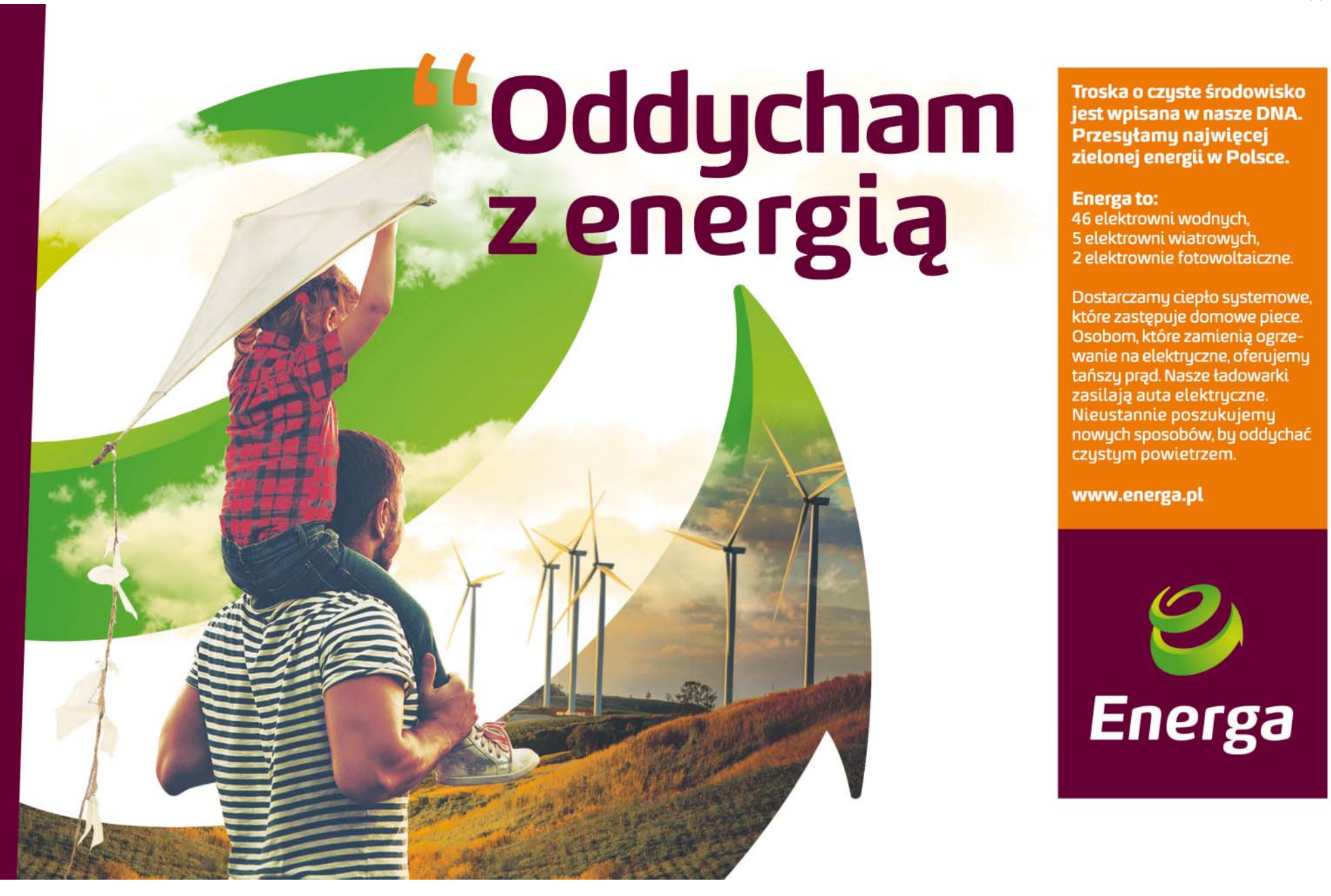

„Henryk” znów krzepki

PRZYRODA | Pomnikowe drzewa integrują lokalne społeczności i ożywiają ruch turystyczny.

GRZEGORZ ŁYŚ

Po wnikliwych rozważaniach i solennym namyśle rada dolnośląskiej gminy Lubań postanowiła w czerwcu 2017 r. nadać sędziwemu cisowi rosnącemu obok szczytu murowanej stodoły we wsi Henryków – imię „Henryk“. Lubańscy radni naprawili w ten sposób, uroczystą uchwałą, grubo ponadtysiącletnie uchybienie wcześniejszych władz tych ziem, książąt łużyckich, królów czeskich, margrabiów brandenburskich, Piastów i Habsburgów. „Henryk“, dotychczas bezimienny „cis henrykowski“, to najstarsze drzewo w Polsce, a być może także w całej Europie Środkowej. Ma obecnie ok. 1280 lat i może zdaniem dendrologów przeżyć jeszcze dwa–trzy tysiąclecia – pod warunkiem starannej opieki.

Groźne nornice

Ostatnia dekada zaczęła się bowiem dla prastarego cisu nieszczęśliwie. Najpierw zauważono, że jego igliwie zaczyna przedwcześnie opadać, a w 2012 r. część drzewa uschła. Eksperci orzekli, że jego system korzeniowy został osłabiony w wyniku inwazji nornic, kopiących tunele w sąsiedztwie korzeni, degradacji gruntu oraz upałów i niedostatku wilgoci w glebie.

Gmina wezwała na pomoc znanego wrocławskiego arborystę Jerzego Stolarczyka, specjalizującego się w ratowaniu starych drzew. Pod jego kierunkiem umieszczono w ziemi specjalną siatkę przeciw gryzoniom, zasypano ich korytarze i uzupełniono glebę warstwami specjalnego humusu, wykonano drenowanie i studzienkę do kontroli poziomu wody. Zastosowano ponadto środki pobudzające wzrost i regenerację korzeni oraz nawozy. Już następnej wiosny, po zakończeniu prac ratunkowych, cis wypuścił młode pędy o dłuższych niż wcześniej igłach. Obecnie „Henryk“ jak na swoje lata jest w całkiem niezłym stanie. Wokół drzewa wzniesiono rusztowanie, na którym zawiesza się ekrany chroniące cis przed słońcem, a zimą przed mrozem oraz instaluje zraszacze i odmgławiacze.

Tajemnicze drzewo

Długowieczność cisa – Llangernyw Yew w Walii to najstarszy żywy organizm w Europie – jego odporność na pleśnie, próchnienie i szkodniki oraz zawarty w cisowym drewnie, korze i igłach silnie trujący alkaloid taksyna, czyniły zeń zawsze drzewo tajemnicze i trochę złowrogie. Słowianie, Germanie i Celtowie otaczali cisy kultem i posądzali o pokrewieństwo z demonami. Jednocześnie bardzo ceniono ich niezwykle twarde drewno (o przyroście rocznym zaledwie nieco ponad 0,5 mm, czyli kilkunastokrotnie wolniejszym niż sosna), z którego w średniowieczu wyrabiano ostrza noży, gwoździe i łuki. Cisowy łuk walijski, słynny prawie dwumetrowy long bow, odegrał ważną rolę w dziejach Europy, przyczyniając się do zwycięstwa Anglików nad Francuzami w bitwach pod Crecy i Azincourt podczas wojny stuletniej.

Polskim królestwem cisów, z 3 tys. drzew, jest 90-hektarowy rezerwat „Cisy Staropolskie im. Leona Wyczółkowskiego“ w Borach Tucholskich. Leśnicy przyznają, że po kilku spędzonych w nim godzinach odczuwają często „dziwne odurzenie“. To prawdopodobnie efekt działania oparów taksyny.

W Henrykowie nikomu z pewnością tajemniczy alkaloid do głowy nie uderzy.

MICHAŁ WALCZAK

„Bartek” – choć to najsłynniejsze drzewo w kraju, nie jest nawet najstarszym dębem

ALEKSANDRA SZMIGIEL-WIŚNIEWSKA/REPORTER

Cis „Henryk” jest najstarszym drzewem w Polsce, ma ok. 1280 lat

Miejscowy samorząd jest natomiast przekonany, że legendarny cis to doskonała promocja gminy oraz symbol, wokół którego może integrować się lokalna społeczność. Już kilka lat temu gmina zrealizowała projekt „Cis henrykowski – szansą na integrację mieszkańców Gminy Lubań” sfinansowany w całości (47 130 zł) ze środków unijnego PO Kapitał Ludzki. Na ratowanie „Henryka“ wydano dotychczas w Lubaniu ok. 60 tys. zł. Jak uważa się w gminie, są to pieniądze dobrze zainwestowane.

Ikona polskiej państwowości

Chlubą podkieleckiego Zagnańska jest dąb „Bartek“. Najsłynniejsze – choć wcale nie najstarsze nawet wśród dębów, liczące 650–670 lat – drzewo w kraju, od czasów zaborów ikona polskiej historii i państwowości, od dziesiątków lat wymaga systematycznej ochrony i pomocy ze strony władz gminy. Niemal spalone podczas rewolucji 1905 r., spróchniałe u podstawy pnia, niebezpiecznie pochylone, prawdopodobnie dożywa swych dni.

Ambicją gminy oraz polskich dendrologów jest zachowanie „Bartka“ dla potomnych nawet po jego biologicznej śmierci. Funkcję pnia przejąć ma konstrukcja inżynierska. Najwięcej zwolenników ma obecnie pomysł krakowskiego architekta i rzeźbiarza Jacka Węcławowicza. Chce on podpiąć lub oprzeć „Bartka“ o metalową rzeźbę stylizowanego drzewa podobnych rozmiarów.

Wichury i wandale

Pomnikowe drzewa to swoisty dar natury dla lokalnych społeczności i samorządów, symbol pomagający w tworzeniu się tożsamości „małych ojczyzn“ oraz produkt turystyczny. Oficjalne, ponowne odkrycie, że najstarszym dębem w kraju jest 800-letnie drzewo w Bagiczu, było przed kilkunastu laty w gminie Ustronie Morskie prawdziwym świętem. Dębem, któremu nadano imię „Bolesław“, Ustronie nie nacieszyło się jednak zbyt długo. W nocy z 31 maja na 1 czerwca 2016 r. powaliła go szalejąca nad morzem wichura.

Obecnie najstarszym polskim dębem jest liczący ok. 750 lat „Chrobry“ w Borach Dolnośląskich na terenie gminy i nadleśnictwa Szprotawa. W listopadzie 2014 r. drzewo cudem przeżyło pożar wzniecony przez wandala, ale ponad połowa jego konarów jest martwa. Ostatnio wielką stratę poniosły Cielętniki w gminie Dąbrowa Zielona pod Częstochową. Szalejący nad Polską w październiku ub.r. orkan Ksawery przewrócił najstarszą w kraju 530-letnią lipę drobnolistną, którą – jako remedium na bolące zęby – od stuleci obgryzali pątnicy pielgrzymujący na Jasną Górę. Właściwości lecznicze ma też podobno kora najstarszej 510-letniej lipy szerokolistnej w Czarnym Potoku. Jest ona jednak raczej odrywana, nie zaś odgryzana. ©℗

Nigdy nie pracowałem

ZBIGNIEW BONIEK | Bydgoszcz to było dla mnie uczucie, serce, miłość, kościół, beztroska młodość. A Łódź to wyczyn, kariera, walka o pozycję i świadomość, że muszę w tej walce liczyć na siebie – mówi Stefanowi Szczepłkowi były piłkarz, dziś prezes Polskiego Związku Piłki Nożnej.

PIOTR NOWAK

Zbigniew Boniek, 62 lata, urodzony w Bydgoszczy. Od 2012 roku prezes Polskiego Związku Piłki Nożnej. Uczestnik trzech finałów mistrzostw świata (1978, 1982, 1986). Był gwiazdą drużyny, która na mundialu w 1982 r. zajęła trzecie miejsce. Z Juventusem Turyn wywalczył Puchar Europy i dwukrotnie mistrzostwo Włoch, z Widzewem Łódź dwukrotnie mistrzostwo Polski.

: Myśli pan czasami o Bydgoszczy?

ZBIGNIEW BONIEK: Co za pytanie? Nie mógł pan gorzej zacząć. A pan nie myśli o miejscu swojego urodzenia? Kiedy wracam do Bydgoszczy, dosłownie przechodzą mnie ciarki. Widzę mamę, czekającą na mnie z dobrą, gorącą zupą. Mimo że mama nie żyje od kilku miesięcy.

Trochę pana prowokuję, bo oczywiście wiem, jak to jest. Każdy ma takie swoje miejsce i czuje zapach tej zupy. Tyle że albo spędza w gnieździe całe życie, albo je opuszcza i wtedy tęskni.

To prawda, że chociaż z Bydgoszczą byłem związany zawsze i to się nie zmienia, dopiero po wyjeździe do Łodzi, a potem dalej, w świat, zrozumiałem, jaką rolę odgrywa miasto urodzenia. Pan mnie pyta, a ja widzę obrazki sprzed kilkudziesięciu lat.

I co na nich jest?

Przede wszystkim osiedle Leśne, budynek przy ulicy Sułkowskiego, gdzie mieszkałem z rodzicami. Niedaleko znajdował się stadion Polonii. Grał na nim mój tata, ale kiedy on w roku 1961 kończył karierę ligowca, ja miałem pięć lat. Musiałem trochę poczekać, nim w Zawiszy sam zacząłem grać. Na stadion Zawiszy też było blisko. Trenowaliśmy na boiskach, których tam nie brakowało, i tak jest do dziś. Cały kompleks Zawiszy robi wrażenie, a kiedy jeszcze klubem opiekowało się wojsko, to był jego sztandarowy ośrodek w skali całego kraju. Treningi biegowe odbywały się często w Myślęcinku, w pobliżu stadionu, za torami kolejowymi łączącymi Bydgoszcz z Warszawą.

> NIE BYŁEM MNICHEM, JEDNAK NIE MIAŁEM POTRZEBY PRZESIADYWANIA PO KNAJPACH. TO WYNIKAŁO Z CHARAKTERU, ALE I TRYBU ŻYCIA. PRZECIEŻ OD DZIECKA W COŚ GRAŁEM, RYWALIZOWAŁEM, MUSIAŁEM BYĆ ZAWSZE W FORMIE, BO NIENAWIDZIŁEM PRZEGRYWAĆ

To podobno największy miejski park w Polsce.

Bardzo prawdopodobne. Myślęcinek to oficjalnie Leśny Park Kultury i Wypoczynku. Jest chyba z dziesięć razy większy niż – dla porównania – warszawskie Łazienki. Rzeczywiście, ktoś pozbawiony orientacji może tam zabłądzić. Ale to były moje tereny. Przepiękne, bardzo urozmaicone. Znałem tam każdy metr kwadratowy lasu i pola. W roku 2010 w Myślęcinku odbyły się nawet mistrzostwa świata w biegach przełajowych. W parku w niedziele odpoczywała cała Bydgoszcz. To było miejsce rodzinnych wypadów. Niby za miasto, a tak naprawdę niewiele dalej niż za stadion. Raptem kilka kilometrów od centrum, człowiek nie musiał organizować wypraw, aby znaleźć się w innym świecie. Dziś jest tam nawet dziewięciodołkowe pole golfowe. Mogę wreszcie zagrać w rodzinnym mieście.

A ten świat codzienny wymagał takiej ucieczki? Jak się mieszkało w Bydgoszczy?

To specyficzne miasto. Duże, a w przeciwieństwie do wielu innych idące spać o godzinie 19. Mnie się to podobało. Nawet kiedy wychodziliśmy gdzieś na dyskotekę, imprezę, to wracało się do domu o 22., a nie nad ranem.

Pewnie byli i tacy, i tacy.

Ja nie byłem mnichem, jednak nie miałem potrzeby przesiadywania po knajpach. To wynikało z charakteru, ale i trybu życia. Przecież od dziecka w coś grałem, rywalizowałem, musiałem być zawsze w formie, bo nienawidziłem przegrywać.

To panu zostało.

I nieźle na tym wychodzę.

W szkole też pan był prymusem?

Uczyłem się w najlepszym bydgoskim liceum ogólnokształcącym numer 6 imienia Jana i Jędrzeja Śniadeckich. Przede mną jego absolwentem został m.in. Jan Kulczyk.

A jego biznesowy partner, właściciel Legii Dariusz Mioduski chodził do liceum nr 5, po sąsiedzku.

Poziom „szóstki" był tak wysoki, że kiedy w wieku 18 lat wyjechałem do Łodzi, grałem w Widzewie i maturę musiałem robić zaocznie, to wtedy rzeczywiście byłem prymusem. Na klasówkach najpierw szybko pisałem swoje wypracowanie, a potem jeszcze kolejne – za trzech kolegów. Niektórzy byli pracownikami rozmaitych instytucji, mieli koło czterdziestki i musieli uzupełniać wykształcenie.

W porównaniu z tym łódzkim nasze bydgoskie liceum było 30 razy lepsze. Znajdowało się w centrum, obok parku Na Sielance. Cudowne miejsce.

Miejsca naszego dzieciństwa i młodości są wyłącznie cudowne. Niezależnie od tego, gdzie się znajdują.

To jeszcze zależy od usposobienia i rodziny. Ja mam pogodne usposobienie, a rodzice zapewniali mi poczucie bezpieczeństwa. Miałem beztroskie dzieciństwo, ale szybko zrozumiałem, że sama zabawa to nie wszystko. Mój tata grał na środku obrony pierwszoligowej Polonii i nie lubił przegrywać.

Słyszałem od piłkarzy z tamtego pokolenia, że Józef Boniek miał opinię stopera, obok którego strach było przebiec.

Grał twardo, przed nikim nie pękał. Ale nie był brutalem. Przeciwnicy go szanowali, a czołowy polski napastnik Marian Norkowski mógł się poświęcić strzelaniu bramek dla Polonii, bo wiedział, że z tyłu ma Bońka, który zatrzyma przeciwników. Ja za bardzo nie pamiętam ojca z boiska, ale jego cechy na pewno przejąłem. Dopóki jest szansa, to walczę. Kiedy nie ma – też, żeby móc spojrzeć sobie w twarz.

Czyli widzewski charakter to pański charakter.

Nie byłem w Widzewie sam. Ale rzeczywiście zebrała się wtedy grupa chłopaków myślących podobnie. Jednak źródeł tego należy szukać w Bydgoszczy. Przeszedłem normalną drogę dla każdego młodego chłopaka uprawiającego sport. Tyle że ja spełniłem wszystkie swoje marzenia, a to się jednak większości chłopaków na całym świecie nie udaje.

Pamięta pan swoje juniorskie mecze?

Niektóre sytuacje z meczu zostają w głowie. Pamiętam też atmosferę towarzyszącą tym meczom. Kiedy graliśmy na przykład na odległych w stosunku do Zawiszy stadionach Gwiazdy – drużyny Stefana Majewskiego – czy Zachemu, to jechaliśmy tam przez całe miasto tramwajem numer 6. Umawialiśmy się z trenerem na godzinę przed meczem, już na stadionie przeciwników. Najpierw, podczas podróży, rozgrywaliśmy swój mecz w tramwaju.

W jakich korkach pan wtedy grał? Były już adidasy?

Nie, no niech mnie pan nie postarza. Oczywiście, że były, ale nie u nas. Mówimy o początku lat 70. Grało się w polskich butach z Wałbrzycha lub Krosna. Były ciężkie, każdy z sześciu kołków w podeszwie czuć było na stopie. Stopień wyżej mieścił się polski wynalazek, czyli tak zwane kolarki. To były lekkie buty, produkowane dla kolarzy. Miały miękką skórę ułatwiającą panowanie nad piłką. Szewcy wzmacniali ich podeszwy i nabijali na nich skórzane kołki. Jak grałem właśnie w takich. Adidasy włożyłem już w lidze.

Ile jest prawdy w tym, że uprawiał pan także hokej na lodzie?

Sto procent. Byłem zawodnikiem sekcji hokejowej Polonii Bydgoszcz. Grałem na bramce, bo w polu byli lepsi, ale dobrze jeździłem na łyżwach. Świetnym hokeistą był mój kolega od dzieciństwa, sąsiad z podwórka Heniek Miłoszewicz. On też doszedł do reprezentacji Polski, grał w Zawiszy, Legii i Lechu. Miał wielki talent, ale mniej szczęścia. Zmarł, dożywszy zaledwie 47 lat. A był ode mnie starszy o miesiąc.

> JAKO ZAWODNIK WIDZEWA CHODZIŁEM NA MECZE HOKEJOWE ŁKS I SIADAŁEM MIĘDZY JEGO KIBICAMI. WŁOS MI Z GŁOWY NIE SPADŁ

Dobrze go pamiętam i żałuję, że jego życie potoczyło się w złym kierunku. Dziś ktoś z takimi umiejętnościami grałby na środku pomocy w reprezentacji. Ale przypomniał mi pan, że dawniej połączenie piłki nożnej z hokejem było naturalne. Hokej uprawiali Ernest Wilimowski, Lew Jaszyn, a Robert Gadocha powiedział mi, że swój charakterystyczny zwód zawdzięcza sposobowi poruszania się na lodowisku Cracovii.

Nie chcę mówić, że dawniej piłkarze byli lepiej przygotowani, wszechstronnie uzdolnieni, bo to może nie było regułą. Ale wielu uprawiało, mniej lub bardziej wyczynowo, kilka dyscyplin, co pomagało w lepszym przygotowaniu do meczów. W moim przypadku to był nie tylko hokej, ale też piłka ręczna. Z reprezentacją swojego liceum zdobyłem mistrzostwo szkół średnich województwa bydgoskiego.

Miał pan wtedy czas na rozrywki?

Dla mnie rozrywką był sport. Ale oczywiście zachowywałem się normalnie, jak każdy młody chłopak. Pojawiła się więc dziewczyna, Wiesia, koleżanka z klasy. Mieszkała niecały kilometr ode mnie. Nie przepadała za piłką, co nie miało dla mnie większego znaczenia. Lubiłem ją za to, jaka jest. Szybko sympatia przerodziła się w miłość. Ale uczyliśmy się jeszcze w liceum, nigdzie razem nie wyjeżdżaliśmy. Chodziliśmy do kina, na spacery do ulubionych miejsc w Bydgoszczy: parku przy filharmonii, na Stary Rynek, do Wenecji Bydgoskiej nad brzegami Brdy. Mieliśmy ulubioną kawiarnię Magnolia przy placu Wolności. Kiedy stoliki były zajęte, a przy jakiejś parze zostawały dwa wolne miejsca, pytaliśmy, czy można się dosiąść. Dzisiaj byłoby to nie do pomyślenia. Wtedy w całej Polsce takie sytuacje nikogo nie dziwiły.

No i jak to się skończyło?

Jak to jak? Pobraliśmy się w Bydgoszczy, w roku 1976. Urząd stanu cywilnego i kościół znajdowały się 300 m od siebie. Mieliśmy wtedy po 20 lat. I od tamtej pory jesteśmy szczęśliwym małżeństwem. Wychowaliśmy trójkę dzieci, cieszymy się wnukami.

Ślub w młodym wieku, wyjazd z rodzinnego domu w nieznane – trudna próba?

Byliśmy młodzi, ale dorośli i świadomi, że świat się przed nami otwiera. Bydgoszcz to było dla mnie uczucie, serce, miłość, Kościół, beztroska młodość. A Łódź to wyczyn, kariera, walka o pozycję i świadomość, że muszę w tej walce liczyć na siebie. Przynajmniej na boisku. Bo w życiu byliśmy razem. Wiesia także przyjechała do Łodzi. Ona studiowała na Uniwersytecie Łódzkim filologię romańską, a ja ekonomię. Zaliczyłem pierwszy rok, ale zacząłem się zastanawiać, czy mi się to przyda w życiu. Uznałem, że nie bardzo, i przeniosłem się na AWF. Zaczynałem w Łodzi, a kończyłem w Warszawie.

Pamięta pan temat swojej pracy magisterskiej?

Nie bardzo. Wiem, że dotyczyła analizy wzrostu zawodników koszykówki. Pamiętam natomiast swoich wykładowców: profesora Kajetana Hądzelka i Krzysztofa Zuchorę. Dyplom obroniłem w maju 1982 r., tuż przed wyjazdem na mundial do Hiszpanii. Zostałem magistrem wychowania fizycznego i automatycznie trenerem piłki nożnej II klasy.

Czy w Juventusie był pan jedynym piłkarzem po studiach?

Nie wiem, i o tym nie myślałem. Brałem pod uwagę to, że nie będę grał w piłkę przez całe życie. Coś trzeba robić później, a wtedy może nie będzie czasu na naukę.

Czym różniła się Bydgoszcz od Łodzi, a Zawisza od Widzewa?

Bydgoszcz to romantyzm, a Łódź – proza z ciężką pracą, dzięki której spełniły się sportowe marzenia. Widzew był krokiem naprzód w stosunku do Zawiszy. Nie tylko awans do ekstraklasy, ale też do rozgrywek europejskich. Nasze mecze przeżywała nie tylko Łódź, ale cała Polska.

To prawda, że piłkarze Widzewa prowadzili wtedy życie zakonników?

Kto to panu powiedział? Każdy miał poczucie odpowiedzialności. Wiedzieliśmy, o co gramy, ale żyliśmy normalnie, jak to młodzi ludzie. W Widzewie kwitło klubowe życie towarzyskie. Z tym że częściej spotykaliśmy się na prywatkach niż w lokalach na mieście. U Marka Pięty, kolarza Pawła Kaczorowskiego, braci Siekierskich.

Na mieście strach przed kibicami? Wiem, że pokolenie wcześniej piłkarze ŁKS rządzili w Sali Malinowej Grand Hotelu na Piotrkowskiej.

Czasami wpadaliśmy do SPATiF-u lub właśnie do Grandu, ale tam częściej na śniadania. Królem tego lokalu był Janek Tomaszewski.

Pan grał w Widzewie, Tomaszewski w ŁKS, a Kaczorowski był kolarzem Gwardii Łódź. Jak się dogadywaliście?

Nie wiem, o czym pan mówi. Przecież miejsce pracy nie miało żadnego znaczenia. Byliśmy kolegami, sportowcami w zbliżonym wieku. Mieliśmy wspólnych znajomych i wspólne tematy. Nikt się temu nie dziwił. Jako zawodnik Widzewa chodziłem na mecze hokejowe ŁKS i siadałem między jego kibicami. Włos mi z głowy nie spadł. Olimpijczycy Jurek Potz czy bramkarz Walery Kosyl byli idolami tych kibiców ŁKS, a moimi kolegami.

Jaki sport poza futbolem lubi pan bardziej – hokej czy żużel?

Jestem uzależniony od żużla. Mógłbym napisać o nim książkę. Myślę, że spośród byłych sportowców nikt nie wie tyle na temat polskiego żużla, co ja. Mogę wystartować w każdym konkursie wiedzy, gdyby takie były.

Z czego wzięła się ta fascynacja?

Stadion żużlowy Polonii znajdował się nie tylko niedaleko mojego domu, ale też kościoła Świętego Wincentego a Paulo, gdzie służyłem do mszy. To jest ten potężny kościół z kopułą, w centrum miasta. Z domu miałem blisko. Kiedy wypełniałem swoje posługi ministranta, a usłyszałem ryk silników i poczułem zapach paliwa, mówiłem księdzu, że muszę wyjść za potrzebą. No i już nie wracałem do kościoła, bo biegłem na stadion.

> JESTEM UZALEŻNIONY OD ŻUŻLA. MÓGŁBYM NAPISAĆ O NIM KSIĄŻKĘ. MYŚLĘ, ŻE SPOŚRÓD BYŁYCH SPORTOWCÓW NIKT NIE WIE TYLE NA TEMAT POLSKIEGO ŻUŻLA CO JA

To długo pan tym ministrantem nie był.

To prawda, ale miałem jak najlepsze intencje. Ja Kościoła nigdy nie zdradziłem, ale na torze było ciekawiej niż w zakrystii. Nie tylko oglądałem żużlowców Polonii w Bydgoszczy, ale zdarzało mi się towarzyszyć im na meczach wyjazdowych. Kiedyś po całonocnej podróży wróciliśmy autokarem z Lublina po meczu ligowym, a ja tylko się przepłukałem i pojechałem do Gorzowa na mecz Polonii ze Stalą.

Czyli żużlowcy tamtych czasów byli dla pana równie ważni jak piłkarze?

Proszę pana, ja pamiętam nawet pary i numery zawodników. Marian Zaranek i Andrzej Koselski, bracia Norbert i Rajmund Świtałowie, Henryk Gluecklich i Stanisław Kasa. Miałem 12 lat, kiedy karierę kończył legendarny Mieczysław Połukard. Jako piętnastoletni chłopak poszedłem na mecz ligowy Polonii ze Spartą Wrocław, nie wiedząc, że będę świadkiem tragedii. Na wyjściu z pierwszego łuku zabił się młody żużlowiec Polonii Jerzy Bildziukiewicz. To się działo dziesięć metrów od mojego miejsca na trybunie. Takich wypadków, niestety, nie można zapomnieć. Pamiętam dzisiejszego znanego trenera Marka Cieślaka jeszcze jako zawodnika Włókniarza Częstochowa. Przykuwał wzrok kibiców, ponieważ jako jedyny w Polsce jeździł w białym kombinezonie. Nazywano go więc Biały Anioł. Żużel nie ma początku ani końca. Kocham to.

A piłka ma koniec?

Można powiedzieć, że nie ma. Jako chłopcu dała mi emocje, nauczyła wygrywać, a zwłaszcza przegrywać. Ukształtowanemu zawodnikowi dała zwycięstwa w Widzewie, Juventusie i sukces na mistrzostwach świata. Teraz spełniam się w roli prezesa organizacji, która nad rozwojem futbolu czuwa. Można w moim przypadku mówić o czymś takim jak kariera. Mam świadomość, że mogę być dla kogoś wzorem.

Kiedy ponosiłem porażki, nie mówiłem, że rzucam piłkę, tylko myślałem, co zrobić, żeby porażka się nie powtórzyła. Mnie to nigdy nie męczyło, chodziłem na treningi z przyjemnością taką samą, jaką dziś daje mi przychodzenie do biura w PZPN czy pójście na mecz, obojętnie na jakim poziomie. Jestem szczęśliwym człowiekiem, który przez całe życie robi to, co lubi, o czym śnił. Dziś mam sto tysięcy zajęć, tyle samo przyjemności i w związku z tym wrażenie, że nigdy nie pracowałem. ©℗

Miejskie areny to

KULTURA I BIZNES | Samorządy, które zdecydowały się na budowę nowoczesnych hal widowiskowych, mają światowej klasy ofertę kulturalną. Świętują też sukcesy biznesowe i promocyjne, a w otoczeniu aren rozwijają usługi.

JACEK CIEŚLAK

To nie rząd, tylko samorządy sprawiły, że dzięki inwestycjom w obiekty widowiskowe, mogliśmy w polskich metropoliach brać udział w koncertach gwiazd światowego formatu. Podobnie będzie w tym roku, kiedy mamy szansę zobaczyć m.in. trzy występy Depeche Mode, Lenny'ego Kravitza, Metallicę, Deep Purple i wielu, wielu innych. Nie musimy już wyjeżdżać do stolic sąsiednich krajów w poszukiwaniu koncertowych wrażeń, tak jak jeszcze dekadę temu.

To właśnie w samorządowych halach widowiskowych koncentruje się polska odsłona światowego show-biznesu. Tournée stadionowe lub plenerowe są bowiem rzadsze, również ze względu na ograniczenia pogodowe, dotkliwe zwłaszcza w naszej strefie klimatycznej. Dlatego łódzka Atlas Arena, Tauron Arena Kraków i gdańsko-sopocka Ergo Arena dają wyjątkowe szanse na żywy kontakt z koncertowymi przebojami ze światowej półki. A polską specjalnością stało się to, że halami nie zarządzają globalne koncerny, tak jak w Pradze czy w Berlinie, lecz właśnie samorządy.

UM GLIWICE

Arena Gliwice to najnowszy obiekt w Polsce niedaleko skrzyżowania autostrad A1 i A4. Otwarcie w maju uświetni występ Armina van Buurena

Pierwsza była Łódź

– Mądre władze samorządowe miast zainwestowały w hale widowiskowe – powiedział nam Hubert Stajniak z Live Nation Polska, krajowego przedstawiciela największego globalnego koncernu, który gościł w Polsce m.in. Paula McCartneya, Madonnę i AC/DC, a w 2016 roku odnotował obroty ponad 8 miliardów dolarów. – Nie ma żadnej wątpliwości, że te inwestycje zwiększają atrakcyjność oferty kulturalnej dla mieszkańców, ale także ruch w branży hotelarskiej i gastronomicznej. Ostrożnie licząc, minimum 30 procent fanów na koncercie to przyjezdni. Nawet jeśli nie nocują, korzystają z gastronomii, sklepów, a właściciele stacji benzynowych też odczuwają korzyść – dodaje.

Jego zdaniem ważne jest to, że hale zarządzane przez samorządy powstały w krótkim czasie, a ich operatorzy mają świadomość, że nie działają w próżni i mają w kraju konkurencję.

– Czasami bywa tak, że procentowy udział przyjezdnych fanów sięga połowy fanów na koncercie – potwierdza Janusz Stefański, członek zarządu MJM Prestige, organizator koncertów m.in. Roda Stewarta, Justina Timberlake'a i Bon Jovi.

– Przy rozwijającym się rynku koncertowym lokalizacja hal od Trójmiasta po Kraków jest bardzo przydatna, a wręcz niezbędna – dodaje Hubert Stajniak. – W jednym roku gwiazda występuje w jednej z hal, by za rok przyjechać do innej, co nie powinno zaskakiwać w czterdziestomilionowym kraju. Właśnie teraz jesteśmy świadkami przełomu, ponieważ Depeche Mode w lutym wystąpi we wszystkich trzech halach – w Krakowie, w Łodzi i Trójmieście.

Od maja 2009 roku działa zbudowana przez władze samorządowe Łodzi Atlas Arena. Jej budowa kosztowała niemal 300 mln zł. – Koszt budowy zwrócił się Łodzi dzięki zyskom z wynajmu hali, a także dochodom pośrednim miasta – powiedziała Ewa Bieńkowska z Atlas Areny. – Łódź do inwestycji skłoniło to, że jako pierwsze miasto miała okazję wybudować tak nowoczesny obiekt widowiskowy. Dzięki temu nasza arena stała się wtedy najważniejszym centrum kulturalnych oraz sportowych wydarzeń w Polsce.

Atlas Arena gromadzi co roku prawie 100 wydarzeń sportowych i kulturalnych. W 2017 roku odbyło się 16 muzycznych imprez, które zgromadziły blisko 150 tys. fanów. Magnesem były gwiazdy światowego formatu, m.in. Deep Purple, Queen, Ennio Morricone, Hans Zimmer, Andre Rieu, Sarah Brightman.

– Miejska Arena Kultury i Sportu nie zapomniała o ofercie dla najmłodszych. Imprezy takie jak Disney on Ice, Dzień Dziecka oraz Gwiazdka dla Dzieci przyciągnęły ponad 40 tys. dzieci i rodziców – powiedziała nam Ewa Bieńkowska.

– W ubiegłym roku zanotowano wzrost znaczenia hali jako centrum kongresowo-biznesowego. W targach, szkoleniach i kongresach wzięło udział ponad 70 tys. osób. Liczba wydarzeń ma duży wpływ na wzrost dochodów pośrednich, takich jak branża hotelarska czy gastronomiczna.

Współpraca dwóch gmin

W sierpniu 2010 roku otwarto Ergo Arenę. Do realizacji projektu Gmina Miasta Gdańska i Gmina Miasta Sopotu zawarły porozumienie międzygminne, którego liderem jest Sopot. Gminy przeznaczyły środki własne na realizację projektu, jak również pozyskały finansowanie zewnętrzne z MENiS oraz ZPORR. Aby arena stanęła na terenach obu gmin, ich władze dokonały nawet korekty granic, nadając miejscu inwestycji nazwę plac Dwóch Miast.

Szacuje się, że od momentu otwarcia gdańsko-sopockiej Ergo Areny w sierpniu 2010 roku do końca 2017 odbyło się tam 1046 imprez, które obejrzało 2 962 560 gości. W latach 2010–2015 łączne wydatki widzów Ergo Areny zaliczonych do kategorii turystów pochodzących spoza Gdańska i Sopotu sięgnęły 455 mln zł. Koszt budowy był o 100 milionów niższy (346 mln zł).

– Koncepcja hali opierała się na założeniu, że będzie to obiekt zaawansowany technologicznie, służący rekreacji i rozrywce mieszkańców Trójmiasta, regionu, a nawet całego kraju – powiedział nam Bartosz Tobieński, rzecznik prasowy obiektu. – Tuż po oddaniu do użytku Ergo Areny wybudowane zostały drogi dojazdowe. Rozpoczęły się również dalsze inwestycje w infrastrukturę drogową łączącą tę halę z obwodnicą Trójmiasta oraz trasą wylotową z Gdańska z drogą krajową S7. Od momentu wybudowania hali spółka miejska Hala Gdańsk-Sopot utrzymuje obiekt i otaczające tereny z bieżących przychodów, a miasta jedynie partycypują w wydatkach inwestycjach i modernizacjach Ergo Areny.

Do końca 2015 r. działalność hali łączyła się z pojawieniem się prawie 127 tys. różnych publikacji. Wartość ekwiwalentu reklamowego wyniosła ponad 280 mln zł.

– To przekłada się na wzmocnienie marki obu miast jako miejsc ciekawych wydarzeń o dużej randze, godnych odwiedzenia, a także przy podejmowaniu decyzji osiedleńczych i lokalizacji inwestycji – mówi rzecznik obiektu.

Dla samorządu ważne jest również to, że działalność operatora obiektu wiąże się z zatrudnieniem 33 osób na umowę o pracę oraz około 100 osób na podstawie umów cywilnoprawnych. Z tytułu udziału w podatku dochodowym od osób fizycznych do budżetów lokalnych dwóch miast na prawach powiatu, jak i województwa w latach 2010–2015 wpływało każdego roku około 170 tys. zł. Ponadto corocznie do budżetu zarówno Gdańska, jak i Sopotu trafia ponad 300 tys. zł z tytułu podatku od nieruchomości.

Tauron Arena Kraków została otwarta w maju 2014 roku. Gościła największe gwiazdy, wśród których byli: Justin Bieber, Robbie Williams, Elton John, Mariah Carey, Foo Fighters, Kings of Leon, Black Sabbath. Całe rodziny przyciągały show Disney on Ice, Cirque du Soleil i Festiwal Muzyki Filmowej.

– To jedna z najważniejszych inwestycji zrealizowanych w naszym mieście w pierwszych dekadach XXI wieku – powiedział Jacek Majchrowski, prezydent Krakowa. – Ten imponujący obiekt od pierwszych chwil swego istnienia pozostaje miejscem spektakularnych widowisk, koncertów i wydarzeń sportowych najwyższej światowej rangi. Wraz z Areną zyskaliśmy potężne narzędzie promocyjne – nowoczesną, funkcjonalną, wygodną przestrzeń, która pomaga nam uwalniać potencjał kreatywnego, młodego duchem, otwartego na świat Krakowa.

znakomite inwestycje

ERGO ARENA

Ergo Arena to wyjątkowy przykład budowy areny widowiskowej przez dwa miasta – Gdańsk i Sopot. Obiekt gościł już 3 mln widzów

Wedle raportu Agencji Rozwoju Miasta 38,7 proc. uczestników wydarzeń to przyjezdni. Goście areny spędzają dzień lub dwa w Krakowie. Ich średni wydatek na hotel wynosi 308 zł. Poza tym blisko 50 proc. uczestników imprez pochodzących spoza Krakowa korzystało też z innych atrakcji i gastronomii. Średni wydatek przyjeżdżających do Tauron Areny poza halą wynosi 333 zł. 70 proc. przedstawicieli branży noclegowej i 40 proc. branży gastronomicznej dostrzega wpływ Tauron Areny Kraków na wzrost liczby gości. Na 10-procentowy wzrost przychodów wskazuje ponad połowa hotelarzy i właścicieli punktów gastronomicznych.

– Jak wynika z tych badań, stale rosnąca liczba imprez i osób biorących udział w wydarzeniach w Tauron Arenie Kraków ma ogromny wpływ na wzrost dochodów firm i instytucji z Krakowa – komentuje Małgorzata Marcińska, prezes zarządu Agencji Rozwoju Miasta w Krakowie.

Wpływ Tauron Areny Kraków na życie ekonomiczne Krakowa oceniany jest na 156 mln zł. Jak szacuje Jacek Gryzło, wiceprezes agencji, koszty budowy, które wyniosły 361 mln zł, zwrócą się po 6–7 latach. Obiekt jest największy w kraju i może pomieścić nawet 22 tys. fanów.

Rząd nie pomaga

Naszych rozmówców dziwi fakt, że Warszawa jest jedyną europejską stolicą, która nie posiada nowoczesnej hali widowiskowej.

– Gdyby taka hala była, moglibyśmy spokojnie podwoić liczbę wydarzeń koncertowych organizowanych w Polsce – twierdzi Hubert Stajniak z Live Nation Polska. – Stołeczna hala mogłaby gościć, lekko licząc, około 20 koncertów wielkich gwiazd rocznie. – Znakomicie współpracuje nam się ze stołecznym Torwarem, ale nikogo chyba nie urażę, mówiąc, że tej hali daleko do współczesnych standardów – dodaje Janusz Stefański z MJM Prestige. – Chodzi przede wszystkim o to, że dzisiejsze koncerty opierają się na produkcji podwieszanej pod strop, który musi utrzymać nawet kilkadziesiąt ton sprzętu oświetleniowego, nagłośnieniowego oraz ekrany. Właśnie z myślą o takich produkcjach większość gwiazd przygotowuje swoje tournée.

– Warszawie na pewno jest potrzebna hala sportowo-widowiskowa i lokalizacja takiej hali została zaplanowana na terenach Skarbu Państwa wokół Stadionu Narodowego – powiedziałam nam Agnieszka Kłąb z warszawskiego ratusza. – Miasto jeszcze w 2008 roku przygotowało masterplan dla terenów od Ronda Waszyngtona do Zielenieckiej. W 2010 roku, poprzez uchwalenie miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego, zatwierdziliśmy lokalizację dla hali właśnie przy Stadionie Narodowym. Prace dotyczące tej inwestycji toczyły się w zespole przy ministrze sportu, w którym uczestniczył bardzo aktywnie Michał Olszewski, wiceprezydent Warszawy. Niestety, od początku 2016 roku nic w tej sprawie się nie dzieje.

LIVE NATION POLSKA

Depeche Mode da w Polsce aż trzy halowe koncerty – w Krakowie, Łodzi i Trójmieście. Więcej w Europie będzie tylko w Niemczech

Sprawa może mieć podtekst polityczny: rządowi PiS może nie zależeć na inwestycjach, które wzmocnią stołeczny samorząd, kierowany przez PO.

Budowa nie jest problemem

– Drugim miastem, w którym przydałaby się nowoczesna hala, jest Poznań – uważa Janusz Stefański z MJM Prestige. – Gdy badamy topografię sprzedaży biletów na organizowane przez nas koncerty, poznaniacy i Wielkopolanie są zawsze w pierwszej trójce przyjezdnych grup fanów.

– Największym problemem nie jest pozyskanie dużych kwot na wybudowanie hali, tylko odpowiedni pomysł na jej utrzymanie i zarządzanie – komentuje Tomasz Lewandowski, zastępca prezydenta Poznania. – W dużych miastach, w których takie obiekty już funkcjonują, mamy do czynienia z tytularnymi sponsorami. Często są to spółki Skarbu Państwa, które pozwalają owe hale utrzymywać. W przypadku Poznania, jeżeli taka decyzja miałaby zapaść, pierwsza musiałaby być dla mnie informacja o pozyskaniu dużego sponsora tytularnego. Trzeba też pamiętać, że mamy Arenę, która jest wpisana do rejestru zabytków. Skoro mamy taki obiekt i jest szansa na to, aby dzięki środkom i doświadczeniu Międzynarodowych Targów Poznańskich – które przejmują zarządzanie Areną – mógł on dużo lepiej funkcjonować, to jesteśmy w stanie go wykorzystać i w sposób ostrożny sprawdzić zapotrzebowanie na duże imprezy zbiorowe w Poznaniu. Dopiero wtedy możemy podjąć decyzję o tym, czy nowa hala jest potrzebna – dodaje Lewandowski. I podkreśla, że w mieście jest już stadion, który generuje duże koszty, ale „nic się tam właściwie nie dzieje". – Pytanie brzmi, czy w przypadku wybudowania dużej hali będzie nas stać na utrzymanie obiektu i systematyczną organizację wydarzeń, do których trzeba będzie przecież dopłacać – zastanawia się zastępca prezydenta Poznania.

Hala przy autostradach

O tym, jak festiwale wzmagają życie gospodarcze, świadczy przykład Gdyni.

– Imprezy takie jak Open'er Festival, Festiwal Polskich Filmów Fabularnych czy Gdynia AeroBaltic generują ogromny ruch turystyczny – powiedziała nam Katarzyna Gruszecka-Spychała, wiceprezydent Gdyni. – Na Open'er Festivalu bawiło się w ubiegłym roku 120 tys. gości, a pokazy Gdynia AeroBaltic oglądało 200 tys. osób. Ogromna większość korzysta z bazy noclegowej i gastronomicznej w mieście, robi tu zakupy. Imprezy pracują też na markę Gdyni, czyniąc miasto rozpoznawalnym na arenie międzynarodowej. Ekwiwalent reklamowy w przypadku Open'er Festivalu w ubiegłym roku wyniósł ponad 100 milionów złotych.

Tymczasem w maju zostanie otwarty nowy obiekt – Arena Gliwice, mogący pomieścić 17 tysięcy widzów.

– Postanowiliśmy wykorzystać szansę i wybudować halę widowiskowo-sportową spełniającą najwyższe standardy w Gliwicach, ponieważ w naszym regionie, w Górnośląsko-Zagłębiowskiej Metropolii, nie ma nowoczesnego tego typu obiektu – mówi Marek Jarzębowski, rzecznik prezydenta Gliwic. – W 2006 r. nasza arena została wpisana decyzją marszałka województwa śląskiego na listę trzech najważniejszych inwestycji dla Śląska.

W 2012 r. prezydent miasta przeprowadził szerokie, tygodniowe konsultacje społeczne, pytając: budować czy nie, zdając sobie sprawę z ogromu przedsięwzięcia. Ponad 61 proc. respondentów opowiedziało się za budową.

– Przez lata budowaliśmy solidne podstawy gospodarcze miasta, co przynosi efekty w postaci budżetu sięgającego 1,2 mld zł i bezrobocia na poziomie 3,6 proc. Teraz przyszedł czas na konsumowanie sukcesu – gliwiczanom się to należy, to ich sukces – mówi Marek Jarzembowski. – Hala będzie bez wątpienia nowym bodźcem do rozwoju miasta. Można się spodziewać pobudzenia sfery usług.

Koszt budowy to ok. 350 mln zł. Hala wygląda imponująco, a wnętrze robi wrażenie. Położenie obiektu – tuż obok skrzyżowania autostrad A1 i A4 oraz blisko Drogowej Trasy Średnicowej łączącej wszystkie miasta konurbacji górnośląskiej, a także trzy lotniska w zasięgu kilkudziesięciu minut drogi – gwarantuje łatwą dostępność imprez odbywających się w hali. Na otwarcie w maju zagra holenderski DJ i producent muzyki trance Armin van Buuren. ©℗

Oratorium na trzy jubileusze

MUZYKA | „Siedem bram Jerozolimy” Krzysztofa Pendereckiego 9 lutego w Lublinie.

MAŁGORZATA PIWOWAR

Są aż trzy powody, dla których został zorganizowany ten niezwykły koncert, którego najważniejszym punktem będzie kompozycja Krzysztofa Penedereckiego. To zakończenie obchodów Wielkiego Jubileuszu 700-lecia lokacji Miasta Lublin, 100. rocznica powstania Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego oraz inauguracja lubelskich obchodów 100-lecia odzyskania niepodległości przez Polskę.

– Szukając utworu, który byłby najlepszym podsumowaniem 700-lecia miasta, a jednocześnie przywołaniem szczególnie dla nas ważnych jubileuszy roku 2018, myśleliśmy o dziele nie tylko doniosłym, ale też przesyconym znaczeniami – wyjaśnia Michał Karapuda, pełnomocnik prezydenta ds. 700-lecia Lublina, dyrektor wydziału kultury UM Lublin. – Pragnęliśmy, by to wydarzenie uświetnił wybitny polski artysta. Stąd wybór „Siedmiu bram Jerozolimy”, utworu, który powstał 20 lat temu w związku z jubileuszem powstania miasta Jerozolimy trzy tysiące lat wcześniej. A jednocześnie jest utworem nawiązującym do poprzednich wielkich dzieł Krzysztofa Pendereckiego, takich jak „Pasja według świętego Łukasza” czy „Polskie Requiem”. Zaproponowaliśmy Stowarzyszeniu Beethovenowskiemu, z którym współpracujemy od wielu lat, przygotowanie tego dzieła na tę okazję.

Uroczystym koncertem dyrygować będzie sam kompozytor. Wystąpią soliści: Iwona Hossa, Karolina Sikora, Anna Lubańska, Adam Zdunikowski i Piotr Nowacki. Towarzyszyć im będzie Chór Filharmonii Krakowskiej i Orkiestra Sinfonietta Cracovia. Na liczącej tysiąc miejsc widowni Sali Operowej Centrum Spotkania Kultur w Lublinie zasiądą przedstawiciele władz miasta, KUL i innych uczelni lubelskich oraz mieszkańcy Lublina.

MAT. PRAS.

Uroczystym koncertem w Lublinie będzie dyrygował sam Krzysztof Penderecki

„Siedem bram Jerozolimy” to rzeczywiście wyjątkowe dzieło. Krzysztof Penderecki skomponował je w 1996 roku. Konstrukcja utworu mającego charakter oratoryjny nawiązuje do siedmiu historycznych bram prowadzących do Jerozolimy. Penderecki użył fragmentów Starego Testamentu zapowiadających przyjście Mesjasza, m.in. Psalmów Dawida, Księgi Izajasza, Daniela, Ezechiela i Jeremiasza. Zgodnie z życzeniem autora fragment proroctwa Ezechiela wykonywany jest zawsze w języku narodowym publiczności.

Prawykonanie utworu odbyło się w Jerozolimie 9 stycznia 1997 roku z udziałem międzynarodowej obsady solistów pod dyrekcją Lorina Maazela. Polska premiera odbyła się w Filharmonii Narodowej w Warszawie dwa miesiące później – 14 marca 1997 roku. Wystąpili soliści scen operowych Polski oraz Chór i Orkiestra Filharmonii Narodowej pod batutą Kazimierza Korda.

„Siedem bram Jerozolimy” okazale rozpoczyna rok tegorocznych lubelskich wydarzeń. Na nie mniejsze zainteresowanie, jak ubiegłorocznymi 700. urodzinami miasta Lublin, w których wzięło udział 200 tysięcy mieszkańców i turystów, liczą ojcowie miasta i organizatorzy przygotowanego programu „Lublin 1918–2018. Inspiruje nas wolność”. Wystawa „Drogi do niepodległości” w Muzeum Lubelskim opowie o drodze wybijania się narodu polskiego na wolność w ciągu ponad 120 lat zaborów. Plenerowy Koncert Wolności w lipcu będzie muzyczną opowieścią o wydarzeniach lubelskiego Lipca 1980 r. Widzowie usłyszą specjalnie napisane i skomponowane utwory mówiące o wydarzeniach tego okresu oraz „songi wolności” – pieśni polskich i światowych bardów towarzyszące ruchom wolnościowym w Polsce. Interaktywna wystawa prezentowana w dwóch największych halach Targów Lublin „100 lat lubelskiego przemysłu” zaprezentuje dorobek lubelskiego przemysłu i rzemiosła.

RZECZPOSPOLITA
ŻYCIE REGIONÓW
poleca

Z kolei tegoroczna 10. edycja Europejskiego Festiwalu Smaku będzie najbardziej barwna w swojej dotychczasowej historii. Odtworzy nie tylko unikalne smaki dwudziestolecia międzywojennego, ale także klimat i atmosferę międzywojennego Lublina.

Podczas dorocznego Jarmarku Jagiellońskiego, na którym znajdzie miejsce niemal 300 średniowiecznych kupców, odbędzie się też widowisko „Zakochani w Lublinie”, w którym wystąpią m.in. Beata Kozidrak, Krzysztof Cugowski, Piotr Cugowski, Urszula, Jan Kondrak z Lubelską Federacją Bardów.

100-lecie Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II także będzie obchodzone przez cały rok. Słuchaczom zostanie zaproponowany cykl debat, spotkań, publikacji, koncertów oraz innych wydarzeń artystycznych, które przypomną, że uczelnia ta była wielokrotnie ostoją akademickiej wolności i kształtowała polską myśl humanistyczną. Obchody przybliżą 100-letni dorobek Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, ze szczególnym uwzględnieniem myśli św. Jana Pawła II, wieloletniego profesora lubelskiej uczelni. Historycznym patronem obchodów będzie ks. Idzi Radziszewski. ©℗

Odważny krok, za którym poszedł świat

SZTUKA | Łódzka wystawa „Metamorfizm” pokazuje drogę do sławy Magdaleny Abakanowicz.

MONIKA KUC

Doskonale znamy jej dojrzałe prace: przestrzenne formy zwane abakanami i rzeźby z miękkiej materii lub brązu. Ale wszystko zaczęło się od fascynacji tkaniną. Prezentacja w Centralnym Muzeum Włókiennictwa w Łodzi skupia się na rozwoju sztuki artystki w najwcześniejszym etapie jej twórczości w latach 60., gdy zajmowała się płaskimi gobelinami, tkaninami malowanymi i coraz bardziej eksperymentalnymi formami strukturalnymi z reliefami, pęknięciami, prześwitami. A w końcu doszła do awangardowych, przestrzennych abakanów.

– Moim zdaniem ten okres twórczości Magdaleny Abakanowicz jest najbardziej rewolucyjny – mówi nam Marta Kowalewska, kuratorka wystawy. – Wprowadziła wówczas tkaninę w obszar sztuki współczesnej i to był najodważniejszy krok, za którym poszedł cały świat. Jej abakany – pełnoprzestrzenne formy z sizalu – to prawdziwa rewolucja, która uwolniła tkaninę od funkcji dekoracyjno-służebnej. I sprawiła, że stała się ona dziełem sztuki.

Dodajmy: dziełem w pełni autorskim, bo w gobelinach artyści zwykle poprzestawali na projekcie malowanym na papierze, a na tkaninę przenosili go pracownicy manufaktury. To nie był przypadek, że artystka zaczęła od eksperymentów z tkaniną. Na ASP w Warszawie studiowała na Wydziale Tkaniny (dyplom w 1954 r.). W pracowni Eleonory Plutyńskiej poznawała techniki tkackie, a Mieczysław Szymański zachęcał ją do wprowadzania nietypowych materiałów w tkaninie. Na pierwszej wystawie w Kordegardzie w 1960 r. pokazała luźno zwieszone tkaniny malowane na surówce bawełnianej o zoomorficznych motywach.

A w 1962 r. na Międzynarodowym Biennale Tkaniny w Lozannie zaprezentowała wielkoformatową „Kompozycję białych form” (6x2 m), która wzbudziła wielkie zainteresowanie jako dzieło awangardowe. To biennale było prestiżową imprezą, w której uczestniczyły też wielkie sławy, jak Le Corbusier. Abakanowicz użyła w tej dwuwymiarowej geometrycznej pracy sznurów bawełnianych, co uznano za niezwykle nowatorskie, bo w reprezentacyjnych gobelinach francuskich standardowo stosowano wtedy wysokiej jakości wełny.

„Kompozycję białych form” możemy zobaczyć z bliska w I części łódzkiej wystawy „Metamorfizm”. Podobnie jak gobelin „Desdemona” z cyklu prac (obejmujących też abakany) prezentowanych w 1965 roku na Biennale Sztuki w Sao Paulo, za

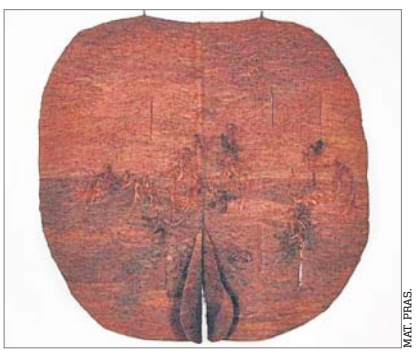

MAT. PRAS.

Jedna z prac Magdaleny Abakanowicz

które artystka zdobyła wówczas Grand Prix, co dało początek jej światowym sukcesom. W 1969 r. wystawiła swoje abakany w nowojorskiej MoMA na międzynarodowym pokazie „Wall Hangings”.

Trwająca obecnie w Łodzi wystawa obejmuje 20 tkanin obrazujących wszystkie etapy poszukiwań artystki z lat 60. Jest też tutaj kilka słynnych abakanów o trójwymiarowej, miękkiej, a jednocześnie rzeźbiarskiej formie. Działają na wszystkie zmysły: skalą, barwą, mięsistą fakturą i przestrzennością, zachęcając do interakcji. Aż 12 z tych prac pochodzi z kolekcji Centralnego Muzeum Włókiennictwa, bo jego pierwsza dyrektorka Krystyna Kondratiuk od razu zaważyła niezwykłość talentu Magdaleny Abakanowicz i zakupiła do zbiorów muzeum jej wczesne tkaniny.

Integralną częścią ekspozycji jest pokaz filmu Kazimierza Muchy z muzyką Bogusława Schäffera, nagraną w Studio Eksperymentalnym Polskiego Radia. – Muzyka pochodzi z tego samego okresu co poszukiwania Abakanowicz. Zależało mi, żeby pokazać niesamowitą odwagę twórców w Polsce powojennej, śmiało przekraczających granice sztuki – mówi Marta Kowalewska. Muzyka towarzyszy widzom jako tło wystawy, a na filmie oglądamy artystkę na plenerze w Łebie z 1968 r., wynoszącą abakany na wydmy.

W maju otwarta zostanie II część łódzkiej wystawy „Metamorfizm” Zobaczymy na niej nigdy niepokazywane w Polsce prace Magdaleny Abakanowicz, udostępnione przez szwajcarską Fundację Toms & Pauli gromadzącą archiwa i dzieła sztuki związane z historią Biennale w Lozannie. Prace Abakanowicz ofiarowała fundacji Alice Pauli, żona dyrektora Muzeum Sztuk Dekoracyjnych Miasta Lozanny Pierre'a Pauli, która prowadziła własną galerię sztuki i przyjaźniła się z polską artystką. ©℗

MAT. PRAS.

PROWINCJONALIA

GOMUŁKOWSKIE MYŚLENIE

Piotr Gajdziński

Wojewoda wielkopolski w ramach swoich dekomunizacyjnych prerogatyw nadał jednej z ulic w Tarnowie Podgórnym, niewielkiej podpoznańskiej miejscowości, imię Zbigniewa Romaszewskiego. Tym samym upadła propozycja miejscowych radnych, którzy proponowali nazwać ulicę imieniem Haliny i Stanisława Zbierskich. Zbierscy to lokalni bohaterowie. On był żołnierzem Września, odznaczonym Virtuti Militari, po wojnie doprowadził do powstania w Tarnowie Podgórnym pomnika upamiętniającego poległych w walce z Niemcami, przyczynił się do wybudowania szkoły. Jego żona była sanitariuszką w powstaniu warszawskim, a po jego upadku trafiła do jednego z hitlerowskich obozów. W PRL przez kilka lat zasiadała w gminnej radzie narodowej.

Nie sposób ocenić, czy na ulicę w Tarnowie Podgórnym bardziej zasługują Zbierscy czy Romaszewski, bo trudno ocenić, kto z nich miał dla Polski większe zasługi. Zbigniew Romaszewski był działaczem Komitetu Obrony Robotników, kierował Komisją Interwencji i Praworządności NSZZ Solidarność, a w stanie wojennym stworzył podziemne Radio Solidarność. Piękny życiorys. Nie mam wątpliwości, że Romaszewski jak mało kto zasługuje na upamiętnienie. Ale czyż na pamięć mieszkańców Tarnowa Podgórnego nie zasługują Halina i Stanisław Zbierscy?

A może wojewodzie przeszkadza to, że Zbierscy byli po wojnie zaangażowani w rozwój lokalnej społeczności – on jako współtwórca pomnika i szkoły, ona jako radna? No, ale Romaszewski w 1955 roku wstąpił do ZMP...

Rzecz nie w ważeniu zasług i ocenianiu, które bohaterstwo było większe, które wymagało większej odwagi i poświęcenia. Rzecz w sposobie działania wojewody wielkopolskiego, a właściwie w konstrukcji ustawy o dekomunizacji ulic. Toż jest to instrument brutalnego gwałcenia samorządności, odbierania mieszkańcom prawa do decydowania o najbliższym otoczeniu i kształtowania lokalnej przestrzeni publicznej.

Nietrudno w działaniu tej ustawy dostrzec paternalistyczne myślenie, tak charakterystyczne dla PRL, z pamięcią o którym ustawa ma walczyć, ale nieobce wszystkim politykom i urzędnikom we wszystkich ustrojach i pod każdą szerokością geograficzną. Oni zawsze uważają, że wszystko wiedzą najlepiej, a im wyżej w hierarchii władzy są posadowieni, tym silniejsze u nich to przekonanie. Wiedzą lepiej niż ci głupi mieszkańcy Tarnowa Podgórnego, Leska, Siemiatycz czy Pcimia. Oni znają szerszy kontekst. Władysław Gomułka w 1969 roku ułożył szczegółową siatkę płac dla budowlańców i uważał, że jest ona najlepsza na świecie, choć jego doświadczenie budowlane ograniczało się ledwie do kilkutygodniowej pracy przy budowie ogrodzenia parku należącego do hrabiego Aleksandra Skrzyńskiego w Zagórzanach koło Gorlic. Gomułka nie żyje, ale jego sposób myślenia przetrwał.

Oczywiście państwo ma swoje prerogatywy. Wśród nich prawo, a nawet obowiązek, prowadzenia polityki historycznej. Razi mnie, gdy w Sosnowcu wjeżdżam na rondo imienia Edwarda Gierka, w Bydgoszczy na ulicę Zygmunta Berlinga czy (do niedawna) Janka Krasickiego lub Franciszka Zubrzyckiego w Radomiu. Jestem głęboko przekonany, że takie nazwy powinny z przestrzeni publicznej zniknąć. Ale nie mniej razi mnie gwałt, którym posługuje się władza. Czy w końcu drugiego dziesięciolecia XXI wieku jedynym instrumentem, którym władza dysponuje, jest ustawa, czyli siła? Czy urzędnicy wojewody – nie tylko wielkopolskiego, ale też każdego innego – lub historycy Instytutu Pamięci Narodowej zadali sobie trud przekonywania do swoich racji radnych, a najlepiej mieszkańców miejscowości, w których chcą dokonać zmiany nazwy ulic lub placów? Zorganizowali spotkania, tłumaczyli i objaśniali? Wyjaśnili, w czym bohater antykomunistycznego podziemia jest lepszy od żołnierza wojny obronnej 1939 roku i powstania warszawskiego? Przeciwnicy zmian nazewnictwa ulic posługują się argumentem ekonomicznym, twierdząc, że ten proces naraża mieszkańców na ogromne koszty. Słabiutkie. Znacznie większym kosztem takiego postępowania jest wyrobienie u obywateli przekonania, że nie mają na nic wpływu, nic od nich nie zależy, że o wszystkim decyduje „góra", że są obywatelami drugiej kategorii albo – bardziej współcześnie – „drugiego sortu".

> DZISIEJSZE WŁADZE ŻYJĄ W NIEZACHWIANYM PRZEKONANIU, ŻE SAMORZĄDNOŚĆ OSŁABIA PAŃSTWO, BO SILNE PAŃSTWO MUSI BYĆ SCENTRALIZOWANE. POGLĄD Z XIX WIEKU

Dzisiejsze władze żyją w niezachwianym przekonaniu, że samorządność osłabia państwo, bo silne państwo musi być scentralizowane. Pogląd z XIX wieku. Jeśli dzisiaj szukać w Europie wzorów dobrze funkcjonujących państw, to będą to Niemcy i Szwajcaria, z szeroko rozbudowanymi prerogatywami dla lokalnych społeczności. Antywzorem jest natomiast Rosja, gdzie prezydent Putin decyduje nawet o remontach lokalnych dróg. ©℗

Autor jest niezależnym publicystą. Do księgarń trafiła właśnie jego biografia Władysława Gomułki „Gomułka. Dyktatura ciemniaków".

Partnerzy „Rzeczpospolitej Życia Regionów"

asseco

FILHARMONIA im. Henryka Wieniawskiego w Lublinie

Filharmonia Podkarpacka im. Artura Malawskiego w Rzeszowie

Gmina Jarocin

Lubuskie Warte zachodu

KRAKÓW AIRPORT im. Jana Pawła II

RZECZPOSPOLITA
Najbardziej opiniotwórcza

#MediumRoku2017

TYLE RAZY CYTOWANO POSZCZEGÓLNE MEDIA

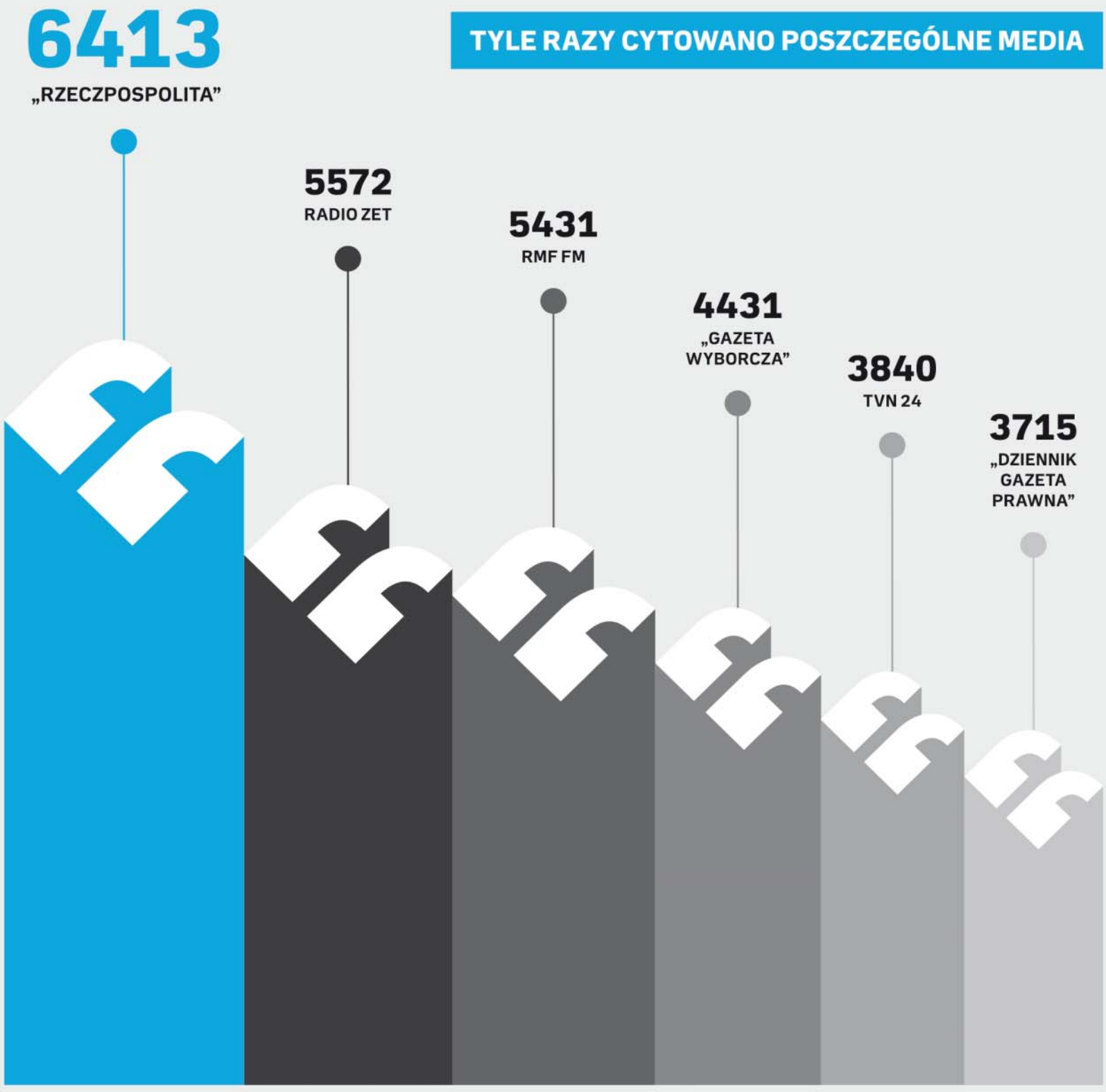

źródło: Instytut Monitorowania Mediów, 2017